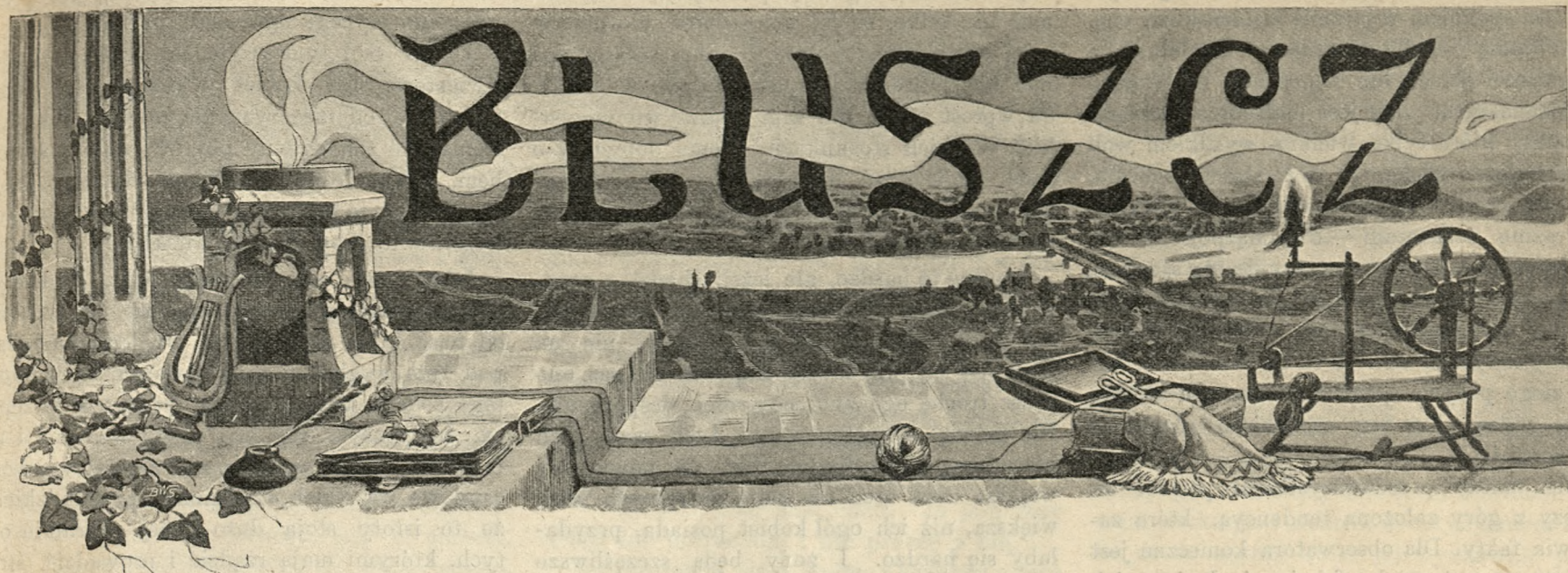




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 23; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Odpowiedź na odpowiedź.



Przejrzawszy wszystkie odpowiedzi matek i żon na „Kwestyonaryusz” w „Bluszczu,” odebrałam miłe wrażenie, że tyle dobrych, jasnych, zdrowych myśli posypało się z pod pióra naszych kobiet. Widać w nich wysoko rozwiniętą inteligencję, umysły krytyczne, dużo rozsądku, widać znaczne wykształcenie, czytanie, podniosłość uczuć i dobrą wolę, czyli to wszystko, co obecnie charakteryzuje kobietę naszą. Wprawdzie możnaby przypuszczać, że te, które brały udział w odpowiedziach, wystrzeliły trochę po nad poziom tak inteligencją, jak i charakterem, ale nie sądzę. Pisały te, które pisać lubią; milczą zaś całe szeregi kobiet innych, rozumnych, które albo daru pióra nie mają, albo nie są skłonne do zwierzeń, lub też życiem złamane.

We wszystkich niemal odpowiedziach Pań brzmi ta sama nuta, to samo wołanie. Wszystkie Panie żądają nauki, światła, praktyczności i miłości w rodzinnych stosunkach. Wszystkie zgadzają się niemal jednomyślnie, że przyczyna zła, — o ile ono istnieje, — leży w wadliwym wychowaniu kobiety, w nieumiejętnym przygotowaniu do obowiązków żony, gospodyni, matki. Że przyczyna zła w fałszywym pojmowaniu życia, że szuka się szczęścia tam, gdzie jedynie spełnienia obowiązku szukać należy, że się w ogóle za mało dziećmi zajmujemy, za mało poważną pracą około domu swego, gospodarką umysłu i t. d., jednym słowem, ogólne wołanie: „Pracy, światła, wiedzy dla kobiet!”

Wszystkie Panie szukają tam ucieczki, wszystkie widzą tam ratunek. Kilka głosów radziło cierpliwość, jako najlepsze lekarstwo, a jeden śmiały głos żądał wprost zawodowej

pracy dla kobiet, aby ją uniezależnić od męża (bez względu na to, że trudno pracować na chleb, a jednocześnie wychowywać dzieci).

I w tej jednomyślności niemal widzi się, że wyznawane przez Panie zasady są głosem ogółu, który przekonania te podziela i o urzeczywistnienie się domaga.

I ja wraz z ogółem Pań się zgadzam, zdania ich dzielam, uważam tylko, że za mało w nich *szczerości* i *głębi*. Aby zabierać głos publicznie, należy być szczerą przede wszystkim, nie wolno bać się śmieszności, lub krytyki. Upatrywać winę w sobie, to dowód nie tylko rozumu, ale i charakteru, który się nad próżność, pychę i inne małostki ludzkie wyniosł, ale upatrywać winę tam, gdzie jej albo niema, albo jest niewiele, to uważam wprost za nienaturalne, mało szczerze, wprost z obawy śmieszności popełniane. Pokora, piękna rzecz. Ale pokora nasza cicha, bezmyślna, która się na tem zasadza, że zamiast spojrzeć złu w oczy i wytoczyć mu wojnę, woli brać winę na siebie i szukać w sobie win dalszych, do ładnych nas doprowadziła rezultatów.

Ja mam usposobienie, które wprost nie może nie patrzeć, nie widzieć i nie badać, ale badać głębi rzeczy. Nie ślizgać się po wierzchu, aby wyrabiać sobie płytkie, niejasne pojęcia, które lekkością swoją wyrabiają sobie prawo bytu — przyjęły się, bo nie zawadzają, nie zapuszczają korzeni, nie nurtują, bo choć zbliżone do prawdy, są powierzchowne, lekkie. Dlatego też zgodnie ze swym rodzajem umysłu, sprawę poruszoną przez Panie pojęłam inaczej, szerzej, głębiej. Przyznaję Paniom zupełną słuszość w ich dowodzeniach, ja jednak pójdę dalej i zaostriwszy kwestyę, przedstawię mój sposób widzenia rzeczy.

Nie goić, leczyczyć rany, jak chcą Panie, ale poznać tło choroby i jej zapobiedz.

Wszystkie przepisane przez Panie środki

są dobre, jeszcze raz powtarzam, jeżeli mamy zgodzić się na to, że życie ciężkie, że małżeństwo smutny, trudny do spełnienia obowiązków, to piastujemy w sobie chorobę, lecząc ją, strzegąc, żeby się zanadto nie rozszerzyła i nie zamieniła w gangrenę. Gdy jednak powiemy sobie, że życie, to nie dolina łez, że nie powinno ono być ani smutnem, ani złem, że małżeństwo, to nie sposób przysparzania sobie nowych ciężarów i obowiązków, ale naturalna droga do szczęścia, że dzieci nie troską, ale radością rodziców być winny, to nam niewolno i przede wszystkim nie zechce się stosować półśrodków.

Poszukamy przyczyny zła. Gdy powiemy sobie, że niewolno ze spokojem patrzeć na nędzę, rozpaczę życia, że niewolno z rezygnacją znosić cierpień, które z rąk ludzi pochodzą, gdy zrozumiemy, że wszystko niemal zło w życiu, pochodzące od bliźnich, da się usunąć, to nie zgodzimy się na leczenie rany, zapagniemy poszukać źródła złego i wyrwać je z korzeniem. I właśnie o to mi chodzi. O to też pewnie chodziło Szanownej Redakcyi, która ogłosiła „Kwestyonaryusz.”

Gdzie leży przyczyna zła?

Najpierw, mojem zdaniem, zło jest daleko większe, niżby się z listów Pań domyślać można. Niema tam wprost narzekań, skarg, niema nie tylko ani jednego serdecznego bólu, ani jednego krzyku serdecznego serca, ale zdaje się, niema nawet samowiedzy, że tyle złamanych dusz, tyle starganych istot w skutek złego małżeństwa spotyka się wszędy. Nie chodzi tu o przykrości pożycia, nie chodzi o codzienne troski, chodzi o te bóle, które łamią się pod brzemieniem, jakie na ich barki nałożyło małżeństwo.

Wiadomo, że ze wszystkich krajów katolickich najwięcej procesów rozwodowych toczy się od nas, a nie omyła się ci, którzy mówią, że ci, co się rozchodzą, nie są najnieszczęśli-

wsi. Najnieszczęśliwsi są ci, którzy z pozornym spokojem w jarzmie małżeńskim chodzą, tłumia ból dla uniknięcia skandalu, dla przyszłości dzieci lub z poczucia obowiązku. Mojem zdaniem wiele jest małżeństw nieszczęśliwych, które tylko wielkim wysiłkiem woli razem ciężar wloką, to też strach ogarnia, gdy się myśli o zamążpójściu swych blizkich. Wyraźnie zaznaczam — o zamążpójściu, nie o żeniaczce. To jest, przyznaję się szczerze, że o wiele wyżej stawiam dzisiejszą kobietę ze sfer intelligentnych, od dzisiejszego mężczyzny z tychże sfer. I co za tem idzie, winę złego pożycia *prawie* zawsze po stronie męża widzę. I w tem zasadniczo różnię się z Paniami.

Nie należy przedewszystkiem patrzeć na rzeczy z góry założoną tendencją, która zabarwia fakty. Dla obserwatora konieczne jest bezstronne notowanie faktów i dopiero ich uogólnianie. Otóż, we wszystkich przeze mnie obserwowanych wypadkach, a tych znam całę szeregi, jedyną przyczyną złego pożycia był mąż. Był to albo hulaka, karciarz, rozpustnik, albo wreszcie w skutek złego prowadzenia próżniak, lekkomyślnik, lub co najczęściej, człowiek stojący niżej od żony tak pod względem moralnym, jak i umysłowym. W dwóch jedynie przeze mnie obserwowanych wypadkach, winą była po stronie żony o tyle, że jedna z nich była o tyle pustą i lekkomyślną, że dorównywała w tem mężowi, a druga wprost zmarnowała porządnego, acz także słabego człowieka, swemi wyimaginowaniami strojów, zabaw i użycia. Znałam zaś jeden jedyny wypadek owego niedoboru w małżeństwie, o którym jedna z pań tak obszernie się rozpisuje, a który, mimo, że ogół ludzi przyzwyczaił się widzieć w nim przyczynę złego pożycia małżonków, jest bardzo rzadki w istocie. A przez niedobór rozumiem to, że dwoje ludzi porządných, rozumnych, tak ma nieodpowiednie dla siebie usposobienia, gusta, zapatrywania, że nie mogą do siebie przywyknąć i wiecznie się różnią. Otóż taki wypadek znam tylko jeden. Ludzie byli oboje zaci, do gruntu uczciwi, ale on starszy o lat 20 od żony, radby w niej widział dobrą gospodynię, cichą, skrzętną, bezwonną, ona zaś młoda, silna duchem, wybiegała myślą i czynem po za krąg rodziny, oburzając się na męża, że za nią nie dążył i nawet szczytne jej zapędy lekceważył.

Dość, że im źle było z sobą. Ale i tu, gdyby nie nasze przyzwyczajenie szukania winy w żonie, to tak po sprawiedliwości, znalazłaby się ona po stronie męża.

Nie sądzicie jednak Panie, że ja uważam mężczyzn za coś bardzo złego, a małżeństwo — za piekło. Przeciwnie, znam dużo małżeństw tak dobrych, tak szczęśliwych, że wprost idealnych, ale wszędzie tam mąż jest zaci, rozumny, dobrze wychowany, powiem nawet wyżej stojący od żony. I to smutny, niezrozumiały objaw, że ile razy spotkałam się ze zgodnem, harmonijnem pożyciem, tam kobieta była istotą niższą od męża. większą egoistką, wymagającą, płytszą. Tam mąż kochał, *szanował* żonę, stosując się do jej wymagań i sam postępując bez zarzutu, ile zaś razy żona przewyższała męża czy to umysłem, czy charakterem, była myślącą, szlachetną, pra-

wą, delikatną, łagodną i poświęcającą się, tam mąż nie tylko, że jej nie oceniał, ale najczęściej brutalizował, stawiał inne kobiety po nad nią i zamieniał życie domowe w piekło. Ja wprost widzę ten sam objaw we wszystkich ludzkich stosunkach. Temu dobrze, kto żąda, umie dbać o siebie, czy to w stosunkach rodziców do dzieci i naodwrot, czy w stosunkach małżeńskich.

Smutne to bardzo, ale jeżeli chodzi o zapewnienie córce osobistego szczęścia, to wszystkie cnoty, wymienione przez Panie, nie na wiele jej się przydadzą. Zapewni się zaś ono przez trochę egoizmu, chytrłości, despotyzmu. Nie mówię o spotęgowaniu tych wad. Ich niewolnicy szczęśliwymi być nie mogą, ale większa doza tych dla mnie wstrętnych wad, większa, niż ich ogół kobiet posiada, przydałaby się bardzo. I żony będą szczęśliwsze i mężowie kontenci. Wolą oni niższy poziom duchowy w małżonce, niż wyższy. Tacy to już oni niestety, takim ich wychowanie z pokolenia na pokolenie.

Długie, długie lata zastanawiałam się, jak rozwiązać ten problemat, jak znaleźć „ścieżkę Pańską.“ Trudno zdecydować się na rozmyślnie poniżenie kobiety, dla zapewnienia jej szczęścia, bo po nad ziemskie szczęście stawiamy coś jeszcze więcej...

Postanowiłam przeto zbadać przyczynę rzeczy i tam uderzyć.

I oto podług mnie, jedyną przyczyną wszystkich nieszczęśliwych małżeństw, jedyną przyczyną niemal wszelkich nędz ludzkich jest niski *poziom moralny całego społeczeństwa*, a w szczególności niski poziom moralny mężczyzny, czyli panów i twórców istniejącego porządku rzeczy. Umoralnijmy mężczyzn przez odpowiednie wychowanie, a kwestya przez nas poruszana upadnie. Pracujmy nie tylko nad charakterem córek, ale dajmy im dobrych mężów, a szczęście samo się znajdzie.

Wszystkie cnoty, praktyczność, zawodowe wykształcenie, szlachetność, podniosłość nie na wiele się przydadzą, jeżeli mąż będzie neurastenik lub gbur, albo wprost człowiek uczciwy, solidny, ale niezdolny ocenić i odczuć, bo, aby przymioty i to czysto duchowe ocenić, trzeba co najmniej na tymże samym stać poziomem. Inaczej one się zrażają, zniechęcają i nudzą. Gdziekolwiek ideały pary małżeńskiej rozechodzą się, tam jest źle. Gdziekolwiek żona przewyższa męża, było niedobrze, a że go przewyższa często, ztąd tak często jest źle. Nie chcę się już powtarzać i do tego samego wracać przedmiotu. Muszę tylko dodać, że całe życie spędziłam w sferze obywatelskiej i o niej jedynie mówię. Może w mieście bywa inaczej, lepiej, ale wątpię. Młodzież tak wiejska, jak miejska, z jednych i tych samych źródeł czerpie wiedzę i prawdę. A że te źródła zatrute, więc i w duszach męty. Przychylam się jednak do przypuszczenia, że w mieście lepiej być może, większy tam procent mężczyzn wykształconych, rozwiniętych i podnioslejszych. Na wsi źle się dzieje.

Wracam jednak do postawionej przeze mnie recepty. Jak już powiedziałam: jedynem lekarstwem na wszelkie zło w ogóle,

a w szczególności zło małżeńskie, jest podniesienie etyczne ogólnego poziomu.

U nas pod tym względem dziwna panuje dwoistość. Od kobiet wymaga się wiele, i słusznie, od mężczyzn nie prawie. Jak wytłumaczyć ten dziwny objaw? Jakim sposobem, jaką drogą doszliśmy do tego, aby wytworzyć tę podwójną moralność i to w społeczeństwie niby chrześcijańskim?

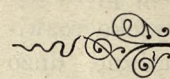
Jakże może nas nie razić fakt, że istoty, które uważamy prawie ogólnie, za wyższe od nas, które zresztą bez względu na nasze pod tym względem zapatrywania, są panami tego świata, tworzą prawa, stanowią przepisy, instytucje, regulują prądy moralne i umysłowe, czyli są jedynymi niemal wytwórcami we wszelkich dziedzinach prac ludzkich, że te istoty stoją dużo niżej moralnie od tych, którymi mają rządzić i prowadzić, stoją tak nisko, że przestaje się od nich wymagać? Jak pogodzić z prostym, zdrowym rozsądkiem fakt, że mężczyźni wolno być niereligijnym, nieobyczajnym, gburem, kłamcą (łamanie przysięgi ślubnej), wprost złodziejem (uwodzicielem) i jeszcze przyznajemy mu jakąś tam wyższość? Na mocy czego? Jeżeli przez prawo natury stworzonym jest na pana, na istotę wyższą, to niechże nią będzie, ale nie siłą pięści jedynie, jak się to dzieje obecnie.

Matka.

(Dokończenie nastąpi).



Maryan Gawalewicz. ←



J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Wszystko to przypomniało jej się teraz tak wyraźnie, tak szczegółowo, że czuła prawie wrażenie tego zrabowanego pocałunku i ten dreszcz dziwny, na wskrós ją wówczas przenikający, którego poprzednio nigdy nie doznała, a który jakby poruszył w niej nagle wszystkie fibry jej ciała i wszystkie struny duszy; drżała, jak harfa, potracona z nagle i silnie, pełna była w sobie jakichś rozkosznych harmonii i przykrych rozdźwięków, coś z płomienia i lodu zarazem przepłynęło gwałtowną falą przez cały jej organizm i na chwilę była, jak nieprzytomna, ogłuszona, zmieszana, nie wiedząca, co się z nią dzieje.

Po raz pierwszy w życiu usta mężczyzny dotknęły jej ust, a uczyniły to w sposób tak brutalny, tak niespodziany i podstępny, że temu wymarzonemu pocałunkowi odebrały całą poezję, słodycz, urok wraz ze świętością dziewiczej ofiary, którą czyste natury kobiece zachowują i strzegą, jako pierwszą objętą na ołtarz miłości.

Mężczyzna, nawet subtelny i uczciwy, rzadko tylko zdaje sobie sprawę z ważności pierwszego pocałunku; dla niego najczęściej pocałunek ten bywa iskrą jedynie, która za-

pala mu krew i zmysły, dla niej błyskawicą, i gromem, które padają w dziewicze królestwo jej duszy i ciała, odsłaniając nowe, nieznane światy, budząc uspione echa i głosy, które dotąd nigdy się jeszcze nie odzywały.

Pierwszy pocałunek złożony na ustach niewinnej dziewczyny, to pocałunek Pigmaliona, dany Galatei.

— I coś ty zrobił, Julku!—powiedziała mu wówczas Misia, tonem nie tyle oburzenia i urazy, ile wyrzutu, że jej zohydził i zmarnował jedną z najpiękniejszych i najuroczystszych chwil, jakie sobie w panińskich marzeniach wyidealizowała.

Musiałoby być w tonie jej głosu, w spojrzeniu, w wyrazie jej twarzy, gdy to mówiła, coś takiego, co podziało na niego silniej, niż najsurowsza kara; uczuł, że wyrządził krzywdę jej duszy, że popełnił jakieś świętokradztwo, którego ani naprawić, ani odpokutować nie zdoła.

Wtedy załamał ręce z wybuchem gniewu i żalu do samego siebie, chwilę stał niemy, bezradny, potem nagle przegarnął palcami włosy nad czołem i szarpnął je tak silnie, że ich całą garść wydarł z głowy, bo mu tego fizycznego bólu trzeba było, aby oprzytomnieć zupełnie.

— Zwierzę jestem!—syknął z pogardą przez zaciśnięte zęby;—przebac mi!.. ale nie mogłem się opanować. Nie sądziłem sam, że masz taki wpływ na mnie!.. To się już nigdy więcej nie powtórzy; daję ci na to słowo honoru.

Trzymał w palcach jeszcze wyrwane włosy, jak człowiek, który się wstydy swej gwałtowności i nie wiedział, co z nimi zrobić.

A w niej obudziło się dobre serce; po raz pierwszy, widziała go z miną tak skruszoną, tak szczerze stroskaną, nie uszło jej uwagi rozpaczliwe załamanie rąk i ten gwałtowny ruch, z jakim szarpnął swe bujne włosy nad czołem, ani to syknięcie z bólu, który sobie sam zadał, więc myślała o nim, że pewnie cierpieć musi i fizycznie, i moralnie, że skoro sam poczuwa się do winy, to z jej strony nie należy kary zaprawiać okrucieństwem i że: „z tego Julka to większy wariat, aniżeli zły chłopak.“

Ulitowała się nad nim i przemogła własną urazę; podeszła pierwsza do niego i zdjawszy mu z palców wyrwane włosy, związała nimi kilka listków akacyi, wsunęła je sobie za gors i rzekła głosem starszej siostry, która karci młodszego brata:

— Jednego głupstwa nie trzeba drugiemu naprawiać!.. widział to kto, żeby mężczyzna garściami wyrwał sobie włosy z głowy!.. bardzo cię teraz boli?... pokaż, może jest krew!..

On trzymał rękę nad czołem i patrzył na nią z ustami zaciśniętymi; nie umiał wytłómaczyć sobie tej troskliwości teraz i tego tonu czulej siostry z poprzednim wyrazem jej twarzy i spojrzeniem, pełnym urazy i wyrzutu.

— Ty jesteś jednak dziwna!—mówił,—ja ciebie chwilami zupełnie zrozumieć nie mogę. Sprzeczności, twoje imię kobieta!..

— Dlaczego?

— Jakto, widzisz przecie, że sobie duszę rozdieram przez ciebie i patrzysz na to obojętna, a dla kilku włosów wydartych z głowy w chwili szalu, żalujesz mnie i troszczysz się, czy kropla krwi nie pociekła!.. Jesteś niekonsekwentna i to twoja wina.

— Jedno z drugim niema nic wspólnego,—odpowiedziała mu spokojnie i z rozmysłem.—Daję ci to, co dać mogę, nie potrzebując ani kłamać, ani się przymuszać. Na wzajemność dla ciebie zdobyć się nie potrafię, ale na litość i współczucie moje możesz zawsze liczyć, choćbyś nawet zawinił przeciw mnie, jak dzisiaj.

Roześmiał się z gorzkim sarkazmem:

— Litość!.. cha! cha! cha!.. Ja jałmużny serca nie potrzebuję i nie proszę o nią.

Wyprostował się z dumą i podniósł głowę wysoko, jakby odzyskał nagle całą pewność siebie i zapomniał, że popełnił względem niej brutalność.

— Cokolwiek sądzisz o mnie i cokolwiek masz mi do zarzucenia w tej chwili,—odezwał się, kładąc nacisk na każdy wyraz,—jedną wyższość musisz mi przyznać nad sobą.

— O tak, że jesteś silniejszy odemnie,—przerwała mu z szydlerczym uśmiechem,—i że z tej siły umiałbyś zrobić dla siebie użytek.

— Nie, ale że jestem konsekwentny w tem co robię.

— Jakto?... więc i to, co uczyniłeś teraz, byłoby konsekwentnem z twojej strony?

— To, że się ośmieliłem pocałować cię?... pocałować w same usta?...

Zawahał się, szukając odpowiedzi.

— Ostatecznie, nie było w tem żadnej wielkiej zbrodni,—dokończył sofistycznym wykrętem,—jesteśmy w kuzynostwie. *Ça restera en famille!*

Próbował się śmiać i w żart obrócić swoje słowa.

Ona wszelako spoważniała i pożałować musiała w tej chwili porywu dobrego serca; wyjęła z za gorsu listki akacyi związane jego włosami, które pragnęła zachować sobie na pamiątkę i rzucając je na ławkę, rzekła tonem suchym i zimnym:

— Pomyliłam się!.. co do jednego tylko jestem pewną, że mnie nie całowałeś, jak kuzynkę i że ten pocałunek był... podłością.

Odwrociła się od niego i odeszła; odchodząc, usłyszała wszelako za sobą jęk, jak człowieka ugodzonego pięścią w samo serce.

Nie rozmawiali po tej scenie ze sobą przez jakie dwa tygodnie.

Teraz, gdy trzymała w rękach dalszy ciąg jego powieści, w której spodziewała się znaleźć wyjaśnienie zagadki, jaka powstała w jej umyśle i rozwiązać pytanie: czy postępek jego wówczas był mimowolnym, instynktowym porywem, czy obliczonym konsekwentnie manewrem, nie śmiała przy matce czytać opisu tej sceny i dlatego rzuciła tylko okiem na jeden ustęp, który ją od razu zastanowił.

„Zbyt dumnym i drażliwym sercem nie łatwo się porozumieć,—pisał Dobrojewski,—bo przy zetknięciu z sobą odczuwają najłżejszą zawadę, która się pomiędzy nie dostaje; jedno słowo, jedno spojrzenie, jeden

gest niezręczny lub źle pojęty psuje harmonię, przez długie dni przygotowaną.

„A nie tak nie zatruwa, nie tak goryczą nie zaprawia, nie tak nie buntuje dumnego serca, kiedy kocha prawdziwie i chce, by mu ślepo zaufano, jak słowo niewiary, powątpiewania i podejrzliwości.“

Zaczerwieniła się, przeczytawszy tych kilka wierszy, które jej przypadek jakby umyślnie w tej chwili pod oczy podsunął.

— Ależ to jakby z mej własnej duszy przepisane! — pomyślała.

Zrozumiała teraz owe nagle, niekonsekwentne zmiany, które zachodziły w Julku, kiedy go niechcący nawet niebacznie słowem dotknęła i uraziła sceptycyzmem swoim co do uczuć, które jej wyznawał; przedstawiał wówczas być dobrym, równym, jednolitym, jak poruszony kalejdoskop zmieniał barwy i na przekór często udawał gorszego, niżeli nim był w istocie.

Zrozumiała lepiej i siebie w stosunku z mężem, od czasu, gdy spostrzegła, że pod dawną czułością, pieśczętą, przywiązaniem, ukrywa się coś, co ją razi, co patrzy na nią badawczo z pod oka, podgląda i podsłuchuje ukradkiem jej myśli, uderzenia jej serca, co trzyma ją pod dozorem i obserwacją, chociaż się do tego przyznać nie chce i nie okazuje tego po sobie.

Ta bezwiedna zmiana w Henryku sprawiała jej przykrość; zanadto go kochała i za dużo miała szacunku dla niego, aby jej to mogło być obojętnem, ale i za dumne miała serce, aby nie czuć się urażoną jego podejrzliwością.

W sytuacji tak wyjątkowej, w jakiej się znaleźli zaraz po ślubie, zaczęły działać na nią i na niego te drobne, nieuchwytne wpływy, przeciw którym oboje bronić się nawet nie mogli.

A dzień w dzień, jak kropla żłobiąca kamień, zapadały obojgu w duszę wrażenia i refleksje, otrzymane z każdego nowego ciągu powieści Julka.

— Spodziewam się, że sobie z tego nic nie robicie! — powtarzała im mamą Dobrojewską, dla której w dziedzinie uczuć i logiki istniały pewne *quantités négligeables*, pod które podciągała jednak wszystko, czego w danej chwili odczuć głębiej lub zrozumieć nie umiała.

Przypuszczała przeto, że najdroższa Miśzetka i ten kochany Henio potrafią tak samo traktować rzeczy, jak ona, aby sobie nie psuć życia, które i tak jest ciężkie.

— *Oh, la vie est dure!* — przywykła przecież powtarzać za innymi i wzdychać niekiedy przy tem, chociaż z własnego doświadczenia nie mogła wysnuć podobnie pesymistycznego wniosku.

Scena z pocałunkiem w powieści Julia „zbulwersowała“ ją jednak na prawdę, nie ze względu na jakąś tam przesadną moralność i pruderyę obyczajów.

— Wielka rzecz, gdyby cię nawet i pocałował, — mówiła otwarcie, nie jak matka z córką, ale przecie, jak kobieta z kobietą, zwłaszcza jako jedna „mondaine’a“ z drugą; — nie o to mi chodzi, tylko o przyzwoitość, o to, co sobie świat pomyśli!.. Ach, te

ludzkie języki, te języki!... to gorsze od komarów i moskitów.

Była po raz pierwszy od bardzo dawna tak niepocieszona, jak dzisiaj.

— Uważaj, moja najdroższa, aby tylko Henrykowi ten dzisiejszy numer do rąk się nie dostał! — ostrzegała Miszettę przy odejściu po raz dziesiąty; — mężowie tych rzeczy nie rozumieją dobrze i potem z tego bywają tylko niepotrzebne sceny i eksplikacje. *Il faut toujours sauver des apparences!*... Pamiętaj o tem, moje dziecko!

Przestrogi jej macierzyńskie jednak nie na wiele się zdały.

Henryk powrócił z miasta z numerem „Gazety porannej“ w kieszeni; kupił go sobie sam w kiosku, a przeczytał w bramie na ulicy.

Ciekawość nie dała mu spokoju; pociąg do trucizny stawał się już w nim chorobliwym.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poszli dziś ludzie...



Poszli dziś ludzie w bór gromada,
Błyskało w słońcu siekier ostrze;
Wala o kłody, — na ziem kładą,
Co polotniejsze i co prostsze...

Jeno ostaną chrusty — karły,
Co trwożnie w jarach się przyparły.

Zaszumią liście i z loskotem
Padną wiecyste społem dęby;
I leżeć będą tak pokotem,
Jakby wicher przeszedł przez poręby...
...Straszo im będzie ostać chrustem
Jutro — nad polem golem... pustem.

Pług przejdzie jutro, — i rozorze
Pokoleń drzewnych truchłe igły,
Gdy chwiać się będzie na ugorze
Nasiennik jeden rosły... śmigły...
...Nie rósć mu, tęskniąc za swym borem,
Lepiej ledz razem pod toporem!...

A gdy z nas starszych wiek połamie,
Straszo nam burzy stawić czoło;
Nie móżdż o ramię wesprzeć ramię
Mogily jeno widzieć w kolo...

Pozierać w pustkę dni pobladłą,
Gdzie co najdroższe się zapadło...

Ida Pilecka.



O szczęście dziecka!



I.

Któż matka nie myśli o tem, aby szczęście dziecka zdobyć, utrwalić i przyszłość całą niem wypełnić?...

Od pałaców lśniących przepychem, do ubo-

gich lepierek nędzarzy, od świata cywilizacji i kultury wysokiej, do tłumów nieświadomych i ciemnych, wszędzie macierzyństwo rysuje jedno i to samo pragnienie: szczęście dziecka. A jednak, ileż to jest odmian, od cieni, różnic i pojęć w tem marzeniu o szczęściu dziecka!... Ileż tu uczuć stawia swoje warunki, ile nawyknień i praw szepce swoje wymagania, ile tu oddzielnych i zupełnie do siebie niepodobnych światów styka się, łączy, obala i rozdziela!...

Najuboższa, upadkiem czy niegodziwością ludzką bez praw małżeńskich macierzyństwem obdarowana kobieta, ta, która czuje, że srom tylko da swemu dziecku na zadatek życia, jeszcze wszakże o jego szczęściu marzy i myśli.

Nieszczęśliwa, walką o byt złamana i zgnieciona, ta, która oczy wypłakała i serce goryczą bólu wypaliła — gdy nie sama z szczęścia nie zaznała, jeszcze nad kolebką dziecka roi i wzdycha: „A któż wie!... może będzie szczęśliwe!...“

I ta, której na pozór wszystko splotało się równo i gładko, u której niczyje oko nie odkryło bólu, co jak robak wpił się w życie i rdzeń szczęścia podgryzał — i ta jeszcze wierzy w to, iż na ziemi można być szczęśliwym i o to szczęście modli się długie lata, patrząc na rosnące dziecko.

Biedna — szuka śladu szczęścia w myśli o bogactwach. Wzgardzona — w wywyższeniu i dobrej sławie. Bogata — kto wie, czy nie widzi go w ubóstwie, a skrępowana kodeksami i wymogami sfer wyższych, duma o tem, iż dzieci jej będą wolne i niezależne.

Czyż to podobna wreszcie wyliczyć i wypowiedzieć, ile marzeń i planów owo szczęście dzieci stwarza, buduje i utrwała?... Są to tajemki dusz, są to niezatarte nigdy pisma uczuć wielkich, o jakich tylko matki tkliwe i szczerze dzieci swe kochające mogą wiedzieć... Są to wiecznotrwałe szepty marzeń o tem, co ma szczęście nieść i dawać, a co nieodgadnione zdaje się jest jeszcze dziś i zostanie takiem do końca.

Samej istoty szczęścia, samego rdzenia jego nie podobna określić. Przez wszystkie wieki pochodzenia ludzkości cień jego snuje się, ale prawdziwej jego postaci nie widać. Poeci, uczeni, filozofowie, bohaterowie, prawodawcy i geniusze starali się o to, aby określić i zdefiniować pojęcie szczęścia, a jednakże ile razy stawali w sprzeczności?... Najwznioślejszy wzór człowieka — chrześcijanina, zdobywającego szczęście przez poświęcenie się, dany nam przez Mistrza na krzyżu, nie zdołał jeszcze wszakże ludzkości wprowadzić całkowicie na drogę ideału — ludzi; bo ludzkość błądzi w szukaniu dróg i stwarza sobie nowe bogi.

Nie trudniejszego, jak żyć tak, aby szczęście zdobyć i szczęście dać. Ci sami wszyscy, którzy o szczęściu dzieci marzą, może dobrze to czują, iż przez winy swoje, lub złego wychowania szczęścia nie zdobyli, ale w szukaniu drogi ku szczęściu dzieci nie zostają bez winy.

Najważniejszą rzeczą dla uniknięcia omyłki jest tu świadomość wychowawców, iż do szczęścia trzeba prowadzić ciągłą, długą, niezmordowaną pracą. Ono musi być zdobyte.

Nie spadnie, jak błędna gwiazdka z nieba, nie rozkwitnie, jak czarodziejski kwiat paproci, nie napoi milionów, jak źródło bijące z ziemi, tylko ono nielicznym jednostkom w udziale padnie wtedy, kiedy je sobie wyorały i wykłuły — pracą i hartem woli.

Owe wszystkie legendowe krasnoludki i zakłete duszki, które przynoszą wodę życia, kwiat szczęścia, leczą rany i wykonywują najcięższe zadania, nie są to postacie bez znaczenia. One mają przypominać spragnionym szczęścia, iż tylko tym Maciusiom uda się to wszystko uzyskać, którzy idą i nie wracają, gdy inni nie wytrwali, oni szli dalej.

Prawda, iż w życiu, inaczej — jak w baśni. Prawda, iż do źródeł wody życiodajnej nie tak łatwo się dostać, jednak iść trzeba i drogę do niej wskazywać.

Dziecku — szczęścia ani kupić, ani wykopać, ani w spadku zostawić nie można. Można je tylko wieść ku niemu i strzedz, aby się z nim nie rozminęło.

Lecz matki mylą się bardzo często. Jedne czynią to z braku świadomości psychologicznej, inne ze złego pojęcia o pracy wychowawczej, a są i takie, które ani wiedzą, ani myślą, czem to szczęście dziecka być może, lecz wiedzą je tam, kędy same idą, — to jest nigdzie.

Ze zdziwieniem pytacie: co to znaczy?

Niestety! nie jest to omyłka druku, ani błąd pióra. Są matki, które ani wiedzą, ani myślą kędy iść, co robić, czem być.

Ten „duszek-puszek“, jak mówił Trentowski, ta kobieta „puch marny“, wspomnianą tak często u Mickiewicza i owe lałki strojne tylko szatą zewnętrzną, o których Krasiński przestrzega, to są często matki i one o szczęściu dziecka marzą i do niego wieść pragną.

Biedne dzieci!... Cóż one temu winne, iż nie znajdują ani odrobiny szczęścia, ani żdźbła jednego, ani kropli jednej nie napiją się? Od początku, wcześniej, od pierwszych kroków źle je prowadzono, więc nie doszły do celu i ani dla siebie, ani dla drugich szczęścia nie zyskały.

Na nic klejnoty i aksamity, na nic pałace i przepychy, na nic sława i imię, jeśli droga życia nie skierowana do celu wielkiego.

Dziecko trzeba uczyć zdobywać szczęście promień po promieniu, kroplę po kropli, perłę po perełce. Kto stara się o szczęście dziecka, ten niech zrozumie, iż zależy ono w zupełności od duszy dziecka, od jego wielkości indywidualnej, od jego wartości istotnej.

Aby szczęście dziecku zapewnić, należy pracować nad niem sumiennie i nie snem marzenia, ale czynem je przybliżać.

Jadwiga z Z. Strokowa.



O współczesnej poezji czeskiej.



Literatura czeska jest u nas znana bardzo powierzchownie, choć dzieje piśmiennictwa tej pobratymczej ziemi, a zwłaszcza cudowne jej odrodzenie w początkach XIX w. jest niezmiernie ciekawe i pouczające.

Jeszcze w 1830—1840 Niemcy pogardliwie nazywali ją *Löschpapierliteratur*, ale już w tym czasie rozwijała się ona w niezwykajnie piękne i pełne żywotności efflorescencie. Półtora sta lat milczenie głuche zalegało ziemię czeską, najznakomitsi jej synowie, jak Jan Amos Komenius uchodzić musieli poza granice ojczyzny; w dobie przebudzenia sami Czesi nie wierzyli w swe odrodzenie: Szafarzyk, Dobrovsky, Palacky—pisali najczęściej po niemiecku. A jednak poezja czeska narodziła się. Obudził ją do życia Byron—i pierwszym wielkim poetą czeskim był Karol Hynek Macha, uczeń i naśladowca Byrona; mieszanina energii i melancholii, którą technicznie Byrona, doskonale odpowiadała położeniu narodu czeskiego w połowie XIX wieku. Duch rewolucji francuskiej zrobił swoje: wydobył życie z narodów skazanych na zagładę. Śród cywilizacji powszechnej powstał szereg subcywilizacji o kolorystyce miejscowym i narodowym. Dziś poezja czeska nie lęka się upadku; owszem wydaje ona tak piękne i oryginalne kwiaty, że zwracać zaczyna uwagę zagranicznych ludów. Świeżo Francuz, Ernest Gautier, ogłosił, niewielką co prawda i dość ogólnikową, ale znamionną i ciekawą rozprawę p. t. «La poésie tchèque contemporaine». Czechy leżą w samym środku Europy: z tego położenia wynikają zarówno ich losy historyczne, jako też i charakter ich kultury. Ze wszech stron otoczone przez obce narody—stanowiły one zawsze jakby punkt centralny, ku któremu dążyły plemiona sąsiednie: Bawarowie, Sasi, Frankonowie, Szwaby, Rakuzi, Polacy, Ślązanie, Węgrzy. To też Czesi byli w ustawicznej wojnie na cztery fronty, odpierając częściowo a częściowo wchłaniając w siebie elementy sąsiednie. Z tego starcia wynikał żywy ruch umysłowy w Czechach; tu w Europie odezwały się pierwsze protesty przeciw supremacji papieża; tu obudziły się pierwsze teorie socjalno-komunistyczne (Taborcy); tu zagrzmiwały pierwsze walki o swobodę (z Cesarzem niemieckim).

Śród ludów słowiańskich Czesi byli najdalej wysuniętą placówką, najbliżsi Europie i największej też wsiąknęli pierwiastków kultury zachodniej. Do połowy XVI w. literatura polska ulegała wpływowi czeskim i jeszcze Mikołaj Rey czcizuje w swych wierszach.

Ale i Czesi ulegali wpływom polskim a także ruskim i południowo-słowiańskim, z drugiej strony zachód: Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Węgry i północ—Anglia i Skandynawia—wszystko to spływało się w Czechach, jakby w kotłach ogólnym kipiło, wirowało i rozwijało się w nowe formy. Ten charakter centralności literatura czeska zachowała po dzień dzisiejszy, a zwłaszcza z chwilą, gdy się uświadomiła należycie.

Pierwsi po wystąpieniu Machy poeci czescy, Witosław Halek, autor znanych po polsku «Pieśni wieczornych» oraz Jan Neruda, autor również tłumaczonych «Pieśni kosmicznych»—oddawali się marzeniom i błakali się po różnych drogach, poszukując właściwej nuty narodowej. Spełnili oni swe zadanie odrodzicieli poezji czeskiej—wypiewując serdeczne swe tęsknoty i wieszczby na jutro.

Ale właściwy złoty wiek poezji czeskiej nastąpił między r. 1860 a, 1870, gdy wystąpiła trójka świetnych pisarzy, a mianowicie J. Vrchlicky, F. Zeyer, J. Zeyer,—każdy z nich ma osobną fizyonomię i stanowisko. Przedewszystkiem Vrchlicky imponuje ogromem swej pracy. Jego 80—90 tomów stanowiłyby mogły wynik pracy dwudziestu poetów. Następnie Vrchlicky najświetniej wyraża ową koncentracyjną dążność umysłowości czeskiej—i w pracy jego znajdziemy essencję wszystkich poetów i wszystkich poezji świata. On jest twórcą nowej czeszczyzny.

Czech przeciwnie jest *par excellence* narodowy, chwalcą znakomitych momentów dziejowych («Adamici»), choć i on miewa pomysły wszechświatowe («Europa»).

Zeyer przypomina Vrchlickiego obszarem

swoich widnokręgów, ale różni się odeń nastrojem. Vrchlicky—to trzeźwy klasyk, idealista rozsądny, marzyciel umiarkowany. Zeyer—to mistyk, romantyk, marzyciel bez granic, przepełniony wskroś nieskończonością a nienasyconym pragnieniem zaświatowości.

Dlatego to młodzi pisarze doby najnowszej wybrali swoim mistrzem Zeyera, który uchodzi za ojca poezji nowoczesnej, gdy przeciw Vrchlickiemu podniosły się głosy buntu. Pierwsza rewolucja jednakże nie wystąpiła pod hasłem mistyki, lecz pod hasłem surowego realizmu, manifest realizmu ogłosił Jan S. Machar, którego charakter możemy poznać w przełożonym na język polski poemacie p. t. «Magdalena» (tłumaaczył Adam M—ski); autor zda się szuka umysłnie motywów drażliwych, w stylu Dostojewskiego, a opisy wyborów i sesji politycznych w małym miasteczku są pełne gryzącej i zuchwałej ironii, wystawiając nędzę umysłową i fałszywy patryotyzm mieszczaństwa czeskiego. Wystąpienie Machara stanowiło przełom dość burzliwy ale kierunek jego się nie utrzymał, znów się rozpoczęła w Czechach koncentracja wszystkich prądów europejskich: wpływy francuskie i germańskie, Ameryka i Anglia, prymitywy włoskie i Nietzsche, Skandynawia i Rosja, Japonia i Teohellenizm—wszystko to znów spływa, kotłuje się amalgamuje w ziemi czeskiej. Młodzież rzuciła się przedewszystkiem do krańcowego mistycyzmu. Nienawiść rzeczywistości stała się hasłem głównym i zasadniczym nowoczesnych pisarzy.

Na czele tych nowatorów stanęli dwaj młodzi ludzie: Karol Hawlaczek i Jerzy Karasek. Pierwszy z nich jest autorem «Gniewnej kantyleny» oraz księgi «Nad ranem», gdzie wyraża melancholijną tęsknotę nieskończoności; umarł w r. 1894, mając lat 24. Drugi przeciwnie («Kniha aristokraticka, Sexus necans»), jest to pełny wściekłości poszukiwacz rzeczy niemożliwych; jest to zarazem bardzo osobisty krytyk i teoretyk literatury, czciciel sztuki dla sztuki, wróg wszelkiej użyteczności. Odmienny zupełnie jest Stanisław Neuman, anarchista z przekonań, członek «Omladiny», który ma za sobą półtoraroczne więzienie; jako poeta wyraża przedewszystkiem miłość życia i pragnienie jak najszerszych praw życia. «Jestem apostołem nowego życia» mówi o sobie ten prawnik starych czeskich Taborców, a czasopismo jego zowie się: «Nowy Kult». Książki zaś noszą tytuły: «Nemesis bonorum custos», «Apostrofy dumne i namienne», «Chwała Szatana wśród nas».

Z innych młodych pisarzy wspomniemy tylko nazwiska, jak Wiktor Dyk (podobno siostrzan Heinego), Emanuel z Leszehradu, tłumacz Stefana Mallarmé, Karol Babanek, wreszcie Antoni Sova i Otokar Brzezina. Sova—jest symbolistą, rozmiłowany w dekoracji, poważnej i melancholijnej; lirykiem raczej intelektualnym, niż uczuciowym.

Otokar Brzezina uważany jest za najświetniejszego wśród młodych poetów czeskich. Niektóre jego rzeczy były u nas tłumaczone, ale zbyt mało znamy tę wspaniałą indywidualność poetycką. Podajemy tu przekład (niestety, z francuskiego) kilku niepospolitych strof poemaciku p. t. «Wino Silnych».

„Bracia, z rąk do rąk oddawajmy sobie wino silnych w mym puharze. Wieki je chroniły od zimna, w winnicy, jako dym ogni wśród nocy“).

Winniczymi były mu Smutek i Samotność.... Nasze lampy staną się źródłem oliwy, co płonąć będzie nieruchoma, wśród wichrów. Mogiły będą nam ogrodami i, śpiewając, kołysać będą naszą śmierć. Rozumieć się będziemy wzajemnie w milczeniu, a pocałunek nasz będzie niewidzialnym spotkaniem pragnień.

Nasza śmierć będzie, jako śmierć ludzi czystych; podobna drodze, którą się z izby pełnej zapachów do świątyni, w niedzielę palmową; podobna rokowi, co odchodzi do krań zdobytych w kwieciuiwiewatach...; podobna stopowi wszystkich dni i wszystkich nocy przeszłości i przyszłości w jeden dzień, który nie będzie miał nocy“).

Dzieła Brzeziny są nieliczne, ale pełne cech wyjątkowych. Tytuły ich są: «Dale Tajemni-

*) W winnicach, w Lutym zapalają ognie, by ochronić wino od przemarznięcia.

cze», «Jutrznie na Zachodzie», «Wiatry od biegunów», «Dłonie», «Budowniczości Świątyni».

Są to dzieła wielce *significatives*. Myśl poety przesiąknięta jest połączeniem szczególnym mistycyzmu i panteizmu, filozofii buddyjskiej i katolickiej.

Poezja to ześrodkowana, nerwowa, kipiąca obrazami, które cisną się nawzajem i zdają rozsadać czaszkę. Słowem Brzezina w całym Parnasie młodoczeskim jest najciekawszym fenomenem.

A. Wrzesień.



Maurycy Jokaj.

»»» B A L . «««

LIST MŁODEJ DZIEWCZYNY.



Kochana Eleonoro!

Leżę chora, zrozpaczona. Nigdy już nie będę tańczyła kadryla, zostanę zakonnicą, albo wyjdę za mąż, albo zrobię jakie głupstwo. Zobaczysz!

Bo wyobraź sobie, co mi się zdarzyło. To okropne! Nie czytałaś nic podobnego nawet w romansach.

Wiesz już zapewne, że w zeszłym tygodniu, po bitwie pod Branyissko, wojsko węgierskie musiało przechodzić przez nasze miasto. Opowiadano o nich rzeczy niesłychane: że rabują, palą, niszczą, zabijają, wykradają panny. Mama chciała posmarować mi twarz łojem i sadzą. Ale nie głupiam.

Otóż wojsko węgierskie weszło do miasta przy dźwiękach muzyki. Papa przyjmował oficerów na czele deputacji, służba rozbiegła się, aby zobaczyć żołnierzy. Nie mogłam znaleźć mamy w całym domu.

Już od kilku dni łamała sobie głowę, żeby wyszukać bezpieczną kryjówkę i musiała ją znaleźć.

Zostawszy sama, pomyślałam, że najbezpieczniej będzie przygotować dużo do picia i do jedzenia dla panów oficerów, żeby nas nie zjedli. Wykombinowałam też sobie, że najlepiej niczego nie odmawiać, to się udobruchają.

Czekałam z rezygnacją. Wreszcie z korytarza doleciał mnie brzęk ostróg i szczęk pałaszów. Po chwili ktoś do drzwi zapukał. Nie wiem sama, jak to się stało i dlaczego odpowiedziałam: „proszę.“

Nie myśl, że wywalili drzwi butami. Zapukali powtórnie i weszli.

Zamiast groźnych postaci ujrzałam dwóch ślicznych i wytwornych oficerów: jeden był blondyn, drugi brunet, obaj uprzejmi. Ładniejszy brunecik przeprosił mnie za ambaras a widząc na stole półcie słoniny i beczulkę wina, uśmiechnął się pod wąsem. Byłam zmięszana, myślałam, że nas wezmą za gburów.—Takie przyjęcie!

Z kłopotu wybawił mnie blondyn dziękując za posiłek i prosząc o wskazanie pokoju, gdzieby mogli obaj spocząć, bo nie kładli się do łóżka od tygodnia. Biedni chłopcy! Żal mi ich było serdecznie.

Zaprowadził ich do najlepszego pokoju w całym domu, były tam właśnie dwa łóżka.

Zaledwie wróciłam do jadalni, usłyszałam okropne krzyki:

— Na ratunek! Rozbój!

Znałam ten głos, ale w strachu nie mogłam go rozpoznać.

Nagle otworzyły się drzwi i na progu stanęła—mama. W jakim stanie! Żal się Boże! Miała spódnice zarzuconą na głowę, była tak czerwona, jak gdyby wychodziła z łaźni.

Mama zchowała się właśnie w pokoju, do którego zaprowadziłam oficerów. Po moim odejściu, rzucili się na łóżka, a biedna mama leżała pod materacem. Jeden z oficerów omal jej nie udusił. Wtedy zaczęła wołać o pomoc.

Bo też co za myśl biednej mamy? Zaledwie zdołałam ją uspokoić i upewnić, że oficerowie nie dybali na jej życie. Posłałam do nich, aby im wytłumaczyć, że mama jest zreumatyzowana i że kładzie się pomiędzy materace — dla transpiracji.

Wypawszy się, nasi goście przyszedli do nas i prosili, żeby mama zechciała być ze mną na balu, urządzanym przez pułk tegoż wieczora. Zamówili mnie odrazu do kontredansa, czardasza i poloneza.

Był to mój pierwszy bal od karnawału.

— Nie masz sukni—wymawiała się mama.

— Jakto nie mam? A biała?

— Już wyszła z mody.

— Niech ją pani przyozdobi narodowymi wstęgami, a stanie się modną.

Do wieczora miałam dużo roboty; trzeba było odświeżyć sukienkę. Według rady *mojego* oficera — bruneta — przepasałam się szarfą o barwach narodowych; we włosy wpięłam jedną różę białą, drugą pąsową — przy zielonych liściach tworzyło to także barwy narodowe. Zdaje mi się, że było mi w nich do twarzy.

Dwaj oficerowie czekali na nas w paradnych mundurach i od razu zasypali mnie gradem komplementów. Nie posiadałam się z radości.

— To się skończy Izami—mówiła mama.

Oficerowie wprowadzili nas na salę. Myślałam, że trójkolorowe wstęgi zrobią wielkie wrażenie, jako pomysł oryginalny, tymczasem wszystkie panny przywdziały tak samo barwy narodowe i każda miała przynajmniej po jednym oficerze u swego boku. Byli w czambuł śliczni, jak malowani. Jeden zwłaszcza zwrócił moją uwagę—kapitan Honwedów—wysoki, zgrabny. A jak tańczył czardasza! Byłabym go za to wyściskała.

Po godzinie wszystkie panny kochały się w nim na zabój i ja z niemi.

Myślałam, że jeżeli na wojnie ma taką zwyciężką minę, to nie oprze mu się żadna forteca.

I oto ten śliczny chłopak zbliżył się do mnie i prosił do kadryla. W pierwszej chwili moja radość nie miała granic, nagle przypomniałam sobie, że już obiecałam tego kadryla innemu.

— Ale da mi pani drugiego. Dobrze? — prosił kapitan ze ślicznym uśmiechem.—Czy pani mnie zapamięta?

Miałam ochotę odpowiedzieć, że poznałabym go wśród tysięcy, ale, że nie jestem pierwszą lepszą gąską, więc odrzekłam:

— Poznam pana—po tem.

I odpiawszy ponsową różę od stanika, dałam mu ją spuszczać oczy. Nie podniosłabym ich za nic na świecie.

Przetańczyli czardasza i poloneza, wreszcie przyszła kolej na drugiego, na *mojego* kadryla. Czekałam go z upragnieniem. Mój tancerz zbliżył się — serce zatłukło się w mej piersi. Dotknął mojej ręki dłonią rozpaloną.

Byłam szczęśliwa—och! i jak szczęśliwa!

Staliśmy na miejscach, czekając pobudki. Wtem za oknami rozległ się tętent kopyt, w oddali zagrzniały wystrzały.

Na salę wpadł żołnierz zabłocony i oznajmił, że nieprzyjaciół uderzył na forpocztę.

— Czekaliśmy tylko na to — zawołał major. — Panowie, przepraszam tancerki, musimy oddać się na kwadransik.

Wyszedł; za nim wszyscy oficerowie. I mnie mój tancerz opuścił. Wyglądał na najdzielniejszego ze wszystkich zuchów. Trzymał w ręku moją różę. Nasze oczy spotkały się.

Oczekiwanie trwało długo. Wszystkie cisnęłyśmy się do okien, upatrując tancerzy. Nikt nie myślał o powrocie do domu. Wreszcie strzały umilkły. Wyprowadziłyśmy ztąd wnioszek, że nasi górą!

Wniosek był słuszny: w kwadrans potem oficerowie powrócili na salę, uśmiechnięci, weseli,

jak gdyby nigdy nic. Na mundurach było błoto — a może nie błoto, lecz krew. Odnaleźli swe tancerki i ustawili się w szeregu. Brakło tylko jednego—mojego tancerza.

Wtem na salę wbiegł major, a ujrawszy mnie, podszedł, uklonił się i rzekł:

— Tancerz pani przeprasza ją najmocniej, ale pomimo szczerych chęci zaraz stawić się nie może. Obiecał przybyć, skoro mu utną nogę, którą kula przeszyła.

— O! Eleonoro, już nigdy nie będę tańczyć kadryla. Jestem chora, jestem w rozpacz.

Tłóm. E. Żm.

Kobieta chińska.

„Kwiaty Lotusu,“ „Promienie bladego złota“ i tym podobne fantastyczno-romantyczne wytwory literatury europejskiej, odnoszącej się do mieszkanek „Krainy Słońca,“ nie dają nam wcale prawdziwego wyobrażenia o kobiecie azyatyckiej, która jednak od dawien dawna budzi w wysokim stopniu naszą ciekawość, jako istota, wedle warunków przyrodzonych tak bardzo do nas zbliżona, kulturą zaś i obyczajami tak zupełnie od nas różna.

I nie dziw, że owe opisy kobiet Dalekiego Wschodu odbiegają od prawdy; wszakże pisane są one przeważnie przez mężczyzn, tym zaś poznanie całej istoty kobiety chińskiej jest nader utrudnione, z tej prostej przyczyny, że wniknięcie do jej życia codziennego, towarzyskiego i psychicznego, jest im jak-najsurowiej wzbronione. Tylko kobieta europejska, może po dłuższym pobycie w Chinach dać nam dokładny opis; w ostatnim zaś czasie mnożą się przykłady kobiet odważnych, które nie wahają się towarzyszyć mężom swym w uciążliwych i niebezpiecznych podróżach, do odległych części świata, a w następstwie, rezultaty ich badań uzupełniają szczegółami, dla nauki bardzo cennymi, a które, czy to na mocy ich płci, czy też wrodzonej im subtelności spostrzegawczej im tylko są dostępne.

W ostatnich czasach Paryżanka p. Gervais Courtellemont odbyła z mężem swym podróż po Chinach w celach naukowych, a z wydanych przez nią „Souvenirs de Chine“ podajemy w streszczeniu opis kobiety chińskiej ze sfer wyższych.

Całe życie Chinki obraca się jak gdyby około jednej głównej osi, a tą jest zasada, że kobieta istnieje na to, aby wydać na świat potomka rodu męskiego, który ma stanowić węzeł między przodkami zmarłymi, lecz zawsze obecnymi, a ludźmi żyjącymi. Kobiety nie mają kwalifikacji do tego kultu przodków i uważane są z tego powodu za istoty podrzędne. Nawet w hotelu, kobietom podróżującym nie wolno mieszkać i spać w pokoju, gdzie znajduje się ołtarzyk dla przodków. Jak widzimy, feminizm w tym kraju ma jeszcze ogromnie wiele do zrobienia.

Że wobec tego małżeństwo w Chinach nie jest sprawą sercową, to rzecz zrozumiała; jest ono prostym interesem, w którym wszystkie względy grupują się około głównego celu — przybycia na świat męskiego potomka. Obu-

stronni rodzice układają ten interes, nie osobiście jednak, lecz za pośrednictwem starszych matron, oddających się specjalnie temu zajęciu. Młodzi narzeczeni przed weselem nie znają się wcale; po raz pierwszy widzą się wieczorem po hucznych i paradnych uroczystościach weselnych; wtedy to młoda małżonkę przynoszą w lektyce ustrojonej piórami strusimi i przy dźwiękach poprzedzającej ją muzyki, do domu jej męża i pana, gdzie przyjmuje ją rodzina młodego małżonka.

Odtąd młoda kobieta jest pod panowaniem dwóch autorytetów despotycznych: męża i teściowej, której winna jest posłuszeństwo i poszanowanie. Teściowe chińskie mają reputację tak straszną, że wobec nich teściowe Zachodu uważane być mogą za istne anielice. Używają one i nadużywają swej władzy, jak gdyby szukały wynagrodzenia za całe życie spędzone w ucisku i na służbie. Poszanowanie dla rodziców jest tak wielkie, że w konfliktach między matką a żoną, syn nie odważyłby się nigdy stanąć po stronie żony. Z tej tyranii powstają nieraz dramaty, w których trucizna ważną odgrywa rolę.

W takich warunkach miłość jest dla kobiety chińskiej uczuciem prawie nieznanem — przynajmniej w tem wysubtelnionem znaczeniu, w jakim istnieje u ludów zachodnich. Niema też ona — oprócz męża żadnych męskich znajomości. To też romanse chińskie należą do najprymitywniejszych utworów literackich. Do najbardziej czytanych obecnie należy np. romans „Dwie kuzynki.“ Dwie młode Chinki, bardzo idealne i egzaltowane ujrzały raz — bardzo przelotnie i ukradkiem pięknego młodzieńca. Zakochały się w nim i używają wszelkich sposobów i intryg, ażeby on ożenił się z niemi. Po długich korowodach, — których opis stanowią ciągle nieudające się i na nowo podejmowane zabiegi, młodzieniec nareszcie jednego i tego samego dnia żeni się z dwiema kuzynkami, nad wyraz szczęśliwymi.

Gdy więc cała uczuciowa siła kobiety chińskiej zatomowana ma tak potężne ujście, jakim jest miłość, musi ona tembardziej żywiołowo przelewać się w innym kierunku, a tym jest miłość macierzyńska. Instynkt zarówno jak interes, przyczyniają się do wzmożenia tego uczucia. Przez macierzyństwo — zwłaszcza gdy urodzi się syn — wyzwala się kobieta chińska. Przez tę małą istotkę z niewolnicy stała się ona osobą poszanowaną — matką. W zamian za życie, które mu dała, dziecko dało jej osobistość i prawa. Ona daje dziecku przyszłość, ono daje jej przeszłość — w tej zasadzie mieści się cała małżeńska moralność chińska.

Kobiety chińskie są przystojne i w europejskiem znaczeniu, co do szczegółów jednak, to estetyka chińska kieruje się inną oceną, niżeli europejska. I tak: duże oczy uchodzą za brzydkie, porównywa się je z oczyma nowego ptaka; powinny być podługne i mało otwarte, w kształcie podatne do pociągnięcia pendzlem. Cera twarzy ma być nadzwyczaj gładką i puszek twarzowy uchodzi za rzecz wstrętną; najmniejszy włos na twarzy wykorzenia się obciążkami; grzywka i loczki na czole — to horrendum w oczach Chinki; włosy muszą być podniesione i wygładzone staran-

nie, aby ani jeden nie wysunął się na czoło. Twarz pomalowana jest bardzo prymitywnie i lalkowato na białe i różowe, przyczem za pomocą kilku kresek usiłuje się wywołać wrażenie bardzo małych usteczek.

W czem jednak głównie polega piękność kobiety, o co przedewszystkiem dowiaduje się narzeczony — to małe nóżki. Nóżki są też siedzibą wstydlivosti kobiecej; nie wolno na nie patrzeć, nie wolno o nich mówić, dla jednego tylko małżonka wychodzą one z bandażu ściskających je od dzieciństwa. Te małe nóżki ubrane są w maleńkie trzewiczki jedwabne, które Chinki haftują same — gdyż nieprzyzwyczajone byłyby przyjmować je z ręki obcej lub kupować w sklepie. Małe te nóżki przez długi czas jeszcze bronić będą kobietę chińską przed nerwową ruchliwością zachodnio-europejskich zwyczajów.

Dziwna ta moda jest w Chinach ogólnie rozpowszechniona; z klas wyższych przeszła ona do ludu i w głębi Chin najbiedniejsze kobiety, spełniające ciężką pracę, czy to na polu, czy w gospodarstwie wykonywują istne cuda równowagi, dźwigając ciężary lub poruszając się szybko na owych cienkich, zwyrodniałych nogach, zakończonych zdeformowaną stopą. I to, co przez dziwną aberrację gustu — uchodzić może jeszcze za piękne i eleganckie u bogatej damy, noszonej w lektyce, staje się nad wyraz smutne u kobiety z ludu. Dla niej jest to męką a często i powodem poważnych chorób oraz śmierci skutkiem gangreny. Daremne były kilkakrotne edykta cesarskie zakazujące deformowania nóg; odniosły one tylko pewien skutek w Pekinie, gdzie cesarzowa dała pierwszy przykład zachowania nóg naturalnych i w miastach nadbrzeżnych, gdzie wnikła już po części cywilizacja europejska. Od trzech tysięcy lat trwa ten dziwny zwyczaj i dziś jeszcze ogromna większość kobiet chińskich torturuje swe nogi od piątego roku życia i czuje się szczęśliwą, gdy osiągnie maximum piękności, t. j. nóżkę, która zmieści się w trzewiczku o 8 centymetrach długości.

Życie towarzyskie Chinki rozwija się w trzech kierunkach, ujętych w ceremoniał nader skomplikowany; wchodzi w nie wizyty, obiady prośzone i wymiana prezentów. Jedną z głównych reguł grzeczności wymaga, aby przy spotkaniu ganić wszystko, co swoje, a podnosić pod niebiosa, co należy do spotkanych znajomych. I tak: chińska dama mówiąc o swoich dzieciach, nazywa je „brudne, małe prosięta“, dzieci zaś swej znajomej porównywa ze słońcem i gwiazdami.

Na wizytę chińska dama przybywa w lektyce szczelnie zamkniętej i zasłoniętej podwójnymi firankami. Lektykę tę służy ustawiają przed wejściem do sali przyjęć, gdzie na gości czeka pani domu. Obok ustawiają skromniejsze nosze, zawierające orszak damy, to jest służebnice i biedne „kuzynki“. Po pierwszym powitaniu gospodyni prowadzi gości do sali przyjęć. Tu następuje pierwszy głęboki ukłon, a potem cała serya nieprzerwana mniejszych dygów, aż wszyscy doszli do ustawionego w głębi stołu. Zasiadają w przepisany porządek a służba natychmiast przynosi herbatę. Pani domu podaje filiżankę damie, ta przyjmuje po licznych śmiesznych cere-

gielach i podaje natychmiast filiżankę pani domu. Rozpoczyna się następnie rozmowa, w której żywy udział bierze cały personel służebnic, z których każda bez ogródek wypowiada swe zdanie. Ta poufalskość największych nawet dam ze służebnymi przypomina zwyczaje w tureckich haremach, gdzie ze służbą obchodzą się przeważnie lepiej, niż u nas. Gdy wizyta się kończy, dama zapewnia w wyszukanych słowach, że z trudem przychodzi jej wyrwać się z zachwycającego towarzystwa i dotyka ustami brzegu filiżanki, dając tem znak do ogólnego powstania. Znowu cały szereg ukłonów, aż do miejsca, gdzie stoją lektyki. Służba rozsuwa firanki, otwiera drzwiczki i wymalowana, wyperfumowana, haftami i klejnotami pokryta dama, wchodzi jak kosztowny kamień, do swego aksamitnego pudełka.

Wielkie obiady połączone są również z nader skomplikowanym ceremoniałem. Sam obiad jest nieskończenie długi, składa się bowiem z 70 dań. Rozpoczyna się od deseru: ciastek, konfitur i owoców, potem następują jarzyny, mięsowa, ryby a na końcu rozmaite rzadkie i wyszukane potrawy, jak gniazda jaskółcze, jaja rozmaitych rzadkich ptaków w dziwnych sosach, wszystko przyprawione bardzo ostrymi korzeniami.

Po za wizytami i obiadami bogata Chinka pędzi życie beczynne. Praca ręczna i czynność fizyczna uchodzi za rzecz poniżającą. Ztąd u klas bogatych zwyczaj noszenia ogromnie długich paznokci, na znak beczynności. Chinka ma satysfakcję, jeżeli przez długie godziny spoczywa nieruchomie, pogrążona w marzeniach, których sformułować nie potrafi, paląc fajeczki a nawet opium.

Wymiana podarków jest jedną z ważnych manifestacji grzeczności chińskiej. Umiejętność przyjmowania i ofiarowania podarków stanowi sztukę swego rodzaju. Zwyczaj wymaga, aby własne dary przedstawiać jako bezwartościowe, i przepraszać stokrotnie za tak niegodne przedmioty, ofiarowane tak szlachetnym osobom. Otrzymując dary, należy natomiast zachwycać się ich wspaniałością, gdy służący przynosi je ceremonialnie na wielkiej tacy z biletem swego pana, obdarowany bierze tylko połowę i odseła resztę protestując przeciw obfitości darów. Służący odchodzi, lecz po chwili wraca błagając o przyjęcie reszty, gdyż inaczej będzie to ogromnym zmartwieniem dla pana lub pani. Wtedy dopiero przyjmuje się resztę darów.

Uprzejmość Chinek dla gości jest nadzwyczajna. Gdy znajoma chwali ciastka — dostaje następnego dnia ogromny zapas takich ciastek, gdy podoba jej się fajeczka, znajdzie ją w najkrótszym czasie u siebie.

Chinki ze swej strony od podróżujących, odwiedzających je dam europejskich przyjmują chętnie prezenty, jak wstążki, lustra, rozpylacze, perfumy zegarki i budziki. Dowiadują się ciekawie o zwyczaje europejskie i z największym zdziwieniem przypatrują się grubym i wielkim bucikom. W rozmowie pośredniczy interpretor (tłumacz) a największe zgorzelenie budzi opis balów europejskich — kobiet nawpół nagich, otoczonych ramionami mężczyzn prawie nieznanym. Opowiadanie o tem wywołało tak gwałtowne oburzenie,

że p. Gervais musiała tłumaczowi swemu zakazać odpowiadania na pewne pytania, dotyczące się zwyczajów europejskich.

D-r Felicya Nossig.



PRACE KOBIECE.

(Z najnowszej literatury francuskiej).



W powieściach i utworach dramatycznych Oktawiusza Feuilleta, spotykamy się często z wyrażeniem: „Ouvrage de femme.“

Praca kobieca, która w tym sensie znaczy raczej robótka kobieca, to haft, który trzyma się w rękę, udając, że się coś robi, to elegancka szmatka, którą się mnie w irytacji, lub na którą skupia się rzekomo całą swą uwagę, czując utkwione na sobie czyjeś czułe spojrzenia; robótka kobieca, to doskonały symbol tej pełnej uroku nieużyteczności, na którą adoracya mężczyzny skazywała kobietę w owej epoce, kiedy wszystkie wnętrza rodzinne podobne były do Ibsenowskiego „Domu Lalek.“

Zdaje mi się, że wyrażenie „robótka kobieca“, w swem pierwotnem znaczeniu zaczyna już powoli wychodzić z obiegu, a w każdym razie przestało ono być znamieniem dla całej sfery kobiet intelligentnych, których działalność i energia od dwudziestu lub trzydziestu lat znajdują ujście w pracy moralnej i intelektualnej czasów obecnych. I nie mogłaby już dziś socjologia nowoczesna obejść się bez współpracownictwa kobiety. Gdy bowiem z naturalną zdolnością spostrzegawczą u kobiety łączy się wykształcenie i metoda, czyli, gdy kobieta pracuje umiejętnie, dostarcza ona wiadomości cennych do ankiety, z której powstaje zwolna nauka społeczna przyśłości.

W tem najlepszem słowa znaczeniu pracami kobiecymi, są dwa dzieła, które ukazały się niedawno w literaturze francuskiej. Jedno z nich zatytułowane: „Amerykanki u siebie“, jest drugim wydaniem książki pani Th. Bentzon, wydanej przed kilku laty, po powrocie autorki z dłuższego pobytu w Ameryce. Dostarczyła ona mnóstwo nowych faktów o roli kobiety w Stanach Zjednoczonych. Znalismy Amerykankę po większej części, jako podróżującego pięknego ptaka, zmieniającego upierzenie kilka razy dziennie, jako emancypantkę, przebiegającą salony europejskie i pozostawiającą po sobie błyskotliwe ślady flirtu.

Pani Bentzon przedstawiła w dziele swem Amerykankę inną, myślącą i czynną, współdziałającą w postępie ogólnym. Wykazała tem samem, iż kobieta może przyczynić się do dzieła społecznego, nie będąc ani zwaryowaną, ani zdeklarowaną, ani pedantką, ani też jakimś potworem bezpłciowym. Z tego względu książka stanowiła epokę, obecnie zaś wzbogaciła się jeszcze licznymi szczegółami, odnoszącymi się do dokonanego w międzyczasie postępu, zwłaszcza w kwestyi głosowania kobiet, widoków obecnych i prawdopodobnych konsekwencji tego wielkiego ruchu. Książka pani Bentzon jest więc prawie niezbędnym materiałem informacyjnym dla obecnego stanu kwestyi kobiecej.

Dwie przeciwne zasady, dwie siły społeczne, stara i nowa, zwalczają się i łączą w dziele pani Noëlle Roger, zatytułowanej „Le Docteur Germaine.“ Ucieleśnione są one w postaci męża i żony, którzy uwielbiają się, lecz się nie rozumieją. Mąż jest cenionym adwokatem; pragnie on rozwijać i zużytkowywać swe zdolności, i być szczęśliwym szczęściem

tych, których kocha, t. j. swej żony i swego dziecka.

I czyż nie ma słuszości?

Ona jest lekarką; widzi po za własną rodziną wielką rodzinę ludzką, której cierpienia wzruszają ją i powołują do poświęceń.

Czyż i ona nie ma słuszości?

Któż zwycięży?... Zdaje się, że oboje małżonkowie, rozłączywszy się w chwili rozdrażnienia, łączą się na nowo i trwale we wspólnych celach, choć odrębnej pracy. Mąż w sferze prawnej spełniać będzie ten sam obowiązek jednostki wobec społeczeństwa, co żona, w zakresie swej wiedzy lekarskiej. I nie będą przez to kochali się mniej; przeciwnie, gdyż kochać się, jest to czuć, myśleć i działać wspólnie, jest to wspierać się wzajemnie w swej wspólnej drodze do ideału.

Jest to jedna z najpiękniejszych powieści francuskich z ostatnich lat, trzeźwa a wzruszająca, energiczna i artystyczna zarazem.

Piękną bajką miłosną jest nowe dzieło Marceli Tinayre: „La vie amoureuse de François Barbazanges.“ Autorka ta dotychczas zajmowała się przeważnie poważnymi tematami. W jednej ze swych powieści dała subtelne studium metafizyki miłosnej, niedawno zaś w powieści „La Maison du Peché“ okazała swą biegłość w teologii, w duchu najsurowszego janenizmu; wskazała ciernistą drogę, wiodącą do stanu łaski, i bezdroża grzechu, i buntowanie się przeciw rezygnacji i nieprzewyciężoną w naturze ludzkiej chęć życia. Franciszek Barbazanges jednak, młodzieniec o płowych włosach, o ciężkich powiekach i o rękach pięknych, nie stawia żadnych problemów filozoficznych. Zadawała się tem, że jest najpiękniejszym i że żyje i kroczy śladem swych marzeń aż do śmierci.

Historia jego, to prosta legenda miłości.

Już w kolebce dobre wróżki przepowiadały mu, że będzie pięknym i miłym i pomimo swej melancholii kochanym; lecz gdy gwiazdy przepowiadały mu szczęście, planety wróżyły, że miłość kobiet przyniesie mu zgubę. W istocie, gdy wyrósł, kochały się w nim wszystkie kobiety. Lecz ani młode koronczarki, pani Contrastin, jego sąsiadki, ani wdzięki prowokacyjne pani de Pheletin nie kusiły młodzieńca, czystego kochanka nimf i sentymentalnych heroin z bajek. Dopiero tajemnicza śmierć z powodu miłości pewnej biednej dziewczyny, budzi w nim świadomość własnego serca. Przypadek zaprowadził go do zamku Hyacenty de Combareilh. Kocha ją, jak we śnie, a po najwyższym szczęściu, umiera piorunem rażony.

Wenera i Saturn razem śmierć mu przynoszą.

Autorka napisała dzieło artystyczne, piękne, a chcąc otoczyć je aureolą poezji, dodała mu urok przeszłości. Zyskała przez to efekty estetyczne. Mogła przybrać bohatera swego w piękny kostium Ludwika XIII-go z czarnego aksamitu, haftowany złotem, w mانشety i żabot koronkowy; mogła jasne pukle włosów jego spuścić na ramiona i włożyć mu na głowę czarny kapelusz z galonem złotym, mogła uczynić go podobnym do bohatera romansu klasycznego. Ta przeszłość romantyczna owiewa całe dzieło, trzyma je na granicy rzeczywistości i fikcji. Życie i sen spotykają się tu na każdym kroku: lekarze dają ludziom losy, koronczarki umierają z miłości. Jest to jak gdyby piękny haft na starym gobelinie, uroczy kaprys utalentowanej autorki.

Ze wszystkich dzieł, które tak obficie w ostatnich tygodniach wypłynęły z pod pióra kobiecego, najpoważniejszą, co do treści, a zarazem pociągającą, co do formy, jest książka pani Juliette Adam: „Mes premières Armes litteraires et politiques.“ Jest to literacka i polityczna historia całej epoki, przedstawiona w nader ożywionej, dyalogowanej for-

mie. Książka ta jest zarazem dalszym ciągiem dzieła tej samej autorki, które ukazało się przed kilku laty. p. t.: „Le Roman de mon enfance et de ma jeunesse.“

„Mała Julka“ jest tu już młodą kobietą, żoną nudnego człowieka, który zmusza ją do zagłębiania się w filozofii pozytywnej Augusta Comte'a, podczas gdy młoda jej dusza dźwięczy muzyką i poezją, a przede wszystkim po nad sferę pozytywizmu unosi się w świat mistyki i w dziedzinę ideału. Niecierpliwość wyrwa jej raz okrzyk, który jest charakterystyką jej istoty, a zarazem odprawą dla całej oschłości pozytywizmu: „Zatrzymać się w badaniu nieznanego i niezrozumiałego, w poszukiwaniu prawd wychodzących po za te, któreśmy już przesyłabizowali, zgodzić się na to, że wszystko kończy się tam, gdzie pytanie wkracza w tajemniczość, o nie, nigdy!“

Było to w epoce przepychu drugiego Cesarstwa, gdy Julia pogrzebana w małym miasteczku Picardyi, między wstępnym pedantem i nudnymi książkami, wdychała do Paryża, nęcącego wszelkimi czarami żywą jej wyobraźnię. I łaskawy los przenosi ją do Paryża w chwili, gdy wre w nim oszałamiający ruch pierwszej wystawy powszechnej. Lecz artystyczno-filozoficznej duszy Julii Lambert nie nęca zbytki i rozkosze życia światowego. Najgłębsze wzruszenie budzi w niej Louvre, gdzie powstaje przed nią starożytność pogańska, której kult uprawiała od dzieciństwa. Wkrótce dostaje się do grona ludzi wyższej inteligencji, grupujących się dokoła „Revue Philosophique.“ Proudhon, który był w modzie w owym czasie, napisał książkę, w której zamierzał uśmiercić dwie słynne kobiety: Georges Sand i panią d'Angoult.

Julia oburzona do żywego, postanowiła dać mu publiczną odprawę i napisała: „Idées antiproudhoniennes,“ lecz dzieła tego nikt wydać nie chciał. Ci, którzy widzieli jej młodą twarzyczkę, traktowali ją, jako dziecko, a jeden z wydawców, do którego udała się listownie (Hetzel) odpisał jej: „Albo książka pani jest zła, albo nosisz pani chustkę w kraty i zażywasz tabakę; nie przynajmniej kobiecie zapewne brzydkiej i bardzo dojrzałej, prawa bronienia Georges Sand i Daniela Stern (pseudonim pani d'Angoult); narazisz je pani tylko na śmieszność.“

Książkę wydał nareszcie ojciec autorki. Wywołała ona odrazu taką sensację, że Julia, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zdobyła sławę.

Obie słynne autorki, w których obronie stanęła Julia, otoczyły ją czułą sympatią. Były one jednak nieprzejednanymi nieprzyjaciółkami. Georges Sand po powrocie z podróży, dowiedziawszy się, że Julia należy już do kółka zaufanych hrabiny d'Angoult, napisała do niej:

—„Georges Sand nie mogłaby powstrzymać się, by nie mówić źle o osobie, której wpływ uważa za szkodliwy. Charakter jej natomiast zakazuje jej odrywać panią od przyjaciółki, którą kochasz. Poczekam! Z chwilą, gdy pogniewasz się z p. d'Angoult, przypomnisz sobie, że Georges Sand jest twoją przyjaciółką i przyjdiesz do niej.“

Pani d'Angoult zaś przestrzegała: „Moje dziecko nie zaznajamaj się z panią Sand. Straciłabyś całą illuzję. Jako kobieta jest ona nie nie znacząca.“ Nawet dobroć Georges Sand nie uszła surowej krytyki. „Prawda, że rozdała wszystko, co zarabia i często sama znajduje się w kłopotach, ale nigdy nie zwróciła się o pomoc do tych, którym dawała. Ma pewną pogardę do ludzi, którym świadczyła dobrodziejstwa.“

Mimo to w kilka lat później zawiązała się przyjaźń gorąca między Julią Lambert a „dobrą panią z Nohant.“

Julia ma jeden z pierwszych salonów paryskich, i wprowadza nas do salonu tego, ja-

ko umiejętna kierowniczką. Występują tu przed naszymi oczyma najrozmaitsze osobistości: jedne zjawiają się raz tylko, by wypowiedzieć jakiś charakterystyczny frazes, inne należą do gości codziennych. Littré i Taine na szczycie sławy, Lamartine, Meyerbeer i Béranger już w stadium zachodzącej sławy, a jako rosące wielkości Wagner, Bismarck i Gambetta. W tym tłumie literacko-politycznym zjawia się także Edmund Adam, jako wielbiciel, a późniejszy małżonek Julii. W tem otoczeniu nawskróś intelektualnem, pod tchnieniem gorących prądów myśli nowoczesnej, rozwinęły się szybko, jak w duchowej oranżeryi zarodki głębokiego umysłu, tkwiące pod powłoką piękności i wdzięków młodocianych. Prąd, który unosi ją ku polityce — tak obcej zazwyczaj kobietom — nie budzi w niej ani osobistej ambicji, ani uczucia kastowego, podnosi tylko do największej potęgi jej patriotyzm, miłość namiętną Francyi i dążenie ku republice, którą w oddali widzi w promienistej aureoli. A jednak ostatnie karty tej książki owiane są smutkiem, gdyż przyszłość polityczna Francyi zaciemnia się, Thiers wygłasza swe ponure prorocтва i zbliża się fatalny rok 1870-ty...

Po przez wszystkie jednak rozdziały tej tak nieskończonej urozmaiconej książki, widzimy bezustanny postęp i rozwój tej, która później w dojrzałym wieku cieszyła się tak zasłużenie przydomkiem: „La Grande Française.“



PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Popis uczniów i uczennic Konserwatorium. — Popis uczennic szkoły śpiewu p. Sobolewskiej. — Opera. — Filharmonia.

„Nie żądam od was — pisał w swoim czasie słynny krytyk francuski, Bellaigue, z powodu jednego z popisów Konserwatorium paryżskiego — doskonałych rezultatów chociażby kilkoletniej nauki, zarówno, jak nie wymagam od popisującego się tych zalet, jakimi celować musi każdy, kto ośmiela się występować publicznie; nie będzie to atoli zbyt śmiałym postulatem, jeżeli chcę nabrać przekonania, czy kierunek „uczelnia“ jest artystycznym.“

Otóż takie domaganie się krytyka paryżskiego powinno stanowić punkt wyjścia w ocenianiu znaczenia i celu popisu szkoły, która kształcić ma artystów. Nie ugruppowanie wydatniejszych jeno wyników pracy kształconych i kształcących przez dopuszczenie do popisów rocznych uczniów, bądź kończących studia, bądź li tylko z kursów najwyższych, lecz umożliwienie popisów, chociażby nawet przyszło rozkładać takowe na raty (jak to się praktykuje w niektórych Konserwatoriach zagranicznych), wszystkim klasom, zwłaszcza t. zw. „średnim,“ może jedynie dać wyraźną miarę postępów, jakie kształcąca się młodzież odnosi w ciągu roku. Tej miary nie dają jednak popisy naszego Instytutu muzycznego. Prezentując szerszemu ogółowi niektórych tylko wychowawców z klas najwyższych, dają one rzut oka na działalność instytucji tylko ogólny i zbyt powierzchowny. Wszakże rezultaty, mniej lub więcej pomyślne, jakie przedstawiają produkcje wychowawców rzeźbionych, przygotowują się we wspólnym móżdżku przez lata całe i klasy; tymczasem przy dotychczasowej metodzie urządzania popisów, cała ta praca pozostaje dla publiczności w ukryciu, pomimo tego nawet, iż programy ich, jak tegoroczny, obejmują po 24 numery i ciągną się blisko pięć godzin czasu.

W tym roku np. klasa prof. Michałowskiego przedstawiła aż czworo elewów, klasa

prof. Giustinianiego — troje, klasy profesorów Barcewicza, Szczepkowskiego, Lurie popisały się każda z dwójgiem wychowanców; co jednak robią i jak pracują np. klasy prof. Jacynowskiej, Sygietyńskiego, Różyckiego, Ursteina, Jakowskiego, Stillera i innych — nie a nie wiemy ponadto, że takie klasy istnieją. A jednak i one miałyby się z pewnością czem pochwalić, jak tego zresztą dał dowód wychowaniec klasy prof. Zawirskiego, p. Rosenberg, biorący udział przygodnie tylko w wykonaniu jednego numeru programu, stanowiącego właściwy popis klasy kompozytów. Stanowczo, w interesie samej szkoły należałoby nareszcie zreformować charakter popisów, aby odpowiadać mogły celowości kontrolując pedagogicznej; tylko dopuszczenie do nich wszystkich klas i możliwie największego kontyngensu uczniów, potrafi dać społeczeństwu możność należytego ocenienia intensywności gospodarstwa pedagogicznego uczelni, stwierdzania postępów i rozwoju danego ucznia, wreszcie obznajmienia się z kierunkiem, tonem, programem nauki — jednym słowem z całym stanem szkoły. Tak zaś, jak się przedstawiają popisy rzeczzone obecnie, mogą one jedynie powierzchownie i chwilowo tylko zaimponować temuż społeczeństwu, mogą co najwyżej przedstawić kilka jednostek wybitniejszych, kilka uzdolnień średnich, — ponadto nic więcej; przechodzi się nad nimi rychło do porządku dziennego, a co gorsze, każda publicznie podniesiona kwestya pod adresem Instytutu, np. szukania, pomimo istnienia Konserwatorium, przez orkiestry nasze członków przeważnie za granicą, lub rażącego rzeczywiście braku uzdolnionych pedagogów i nauczycieli gry na wszelakiego rodzaju instrumentach, nawet używanych, jak fortepian i skrzypce, najpowszechniej, wprawia ogół, nie umiejący zdać sobie z tego sprawy, w kłopot prawdziwy.

Przechodząc po tych kilku uwagach ogólnych do samego popisu, ztwardzić należy, że i w tym roku dał on nam sposobność do poznania kilku talentów bardzo obiecujących.

Z najpokaźniejszą ich liczbą, gdyż z trzema, wystąpiła klasa prof. Michałowskiego, od dłuższego już czasu trzymająca prym na wszystkich popisach naszego Instytutu Muzycznego. Wychowawcy jej, panie B. Rapke i R. Rosenbaumówna, oraz p. A. Szlendak, przedstawili się, zwłaszcza ten ostatni, jako organizacje nawskróś artystyczne, obdarzone wielu cennymi przymiotami: poczucia muzycznego, smaku estetycznego i samodzielności odtwórczej, które to zalety, wsparte wyborną rzeczywiście szkołą znakomitego naszego pianisty, pozwalają rokować wspomnianym młodemu adeptom sztuki bardzo piękną przyszłość w świecie tonów.

Klasa kompozycji prof. Noskowskiego, do której zazwyczaj rozleglejsze przywiązuje się nadzieje, zaprezentowała również duży i oryginalny talent w osobie p. L. Różyckiego (syna profesora Konserwatorium). Pomijając formę, naturalnie dobrą, i instrumentację, ujawniającą wielkie poczucie kolorytu u młodego kompozytora, podkreślić należy w jego „Allegro fantastico“ (na fortepian i orkiestrę) łatwą a przecież nie banalną inwencję, opanowanie wszystkimi środkami techniki kompozytorskiej, świeżość pomysłów harmonicznych, wreszcie, co najważniejsze, i z czego przebiega prawdziwa iskra Boża, wysoką umiejętność ujawniania swej wiedzy muzycznej w sposób nie szablonowy, a indywidualny.

Z piątym wybitnym talentem popisała się klasa p. Lurie. Jej uczennica, p. Bykowa, spotkała się z uznaniem powszechnem, zarówno dla piękności gatunku i wybornej emisji srebrzystego swego i rozległego w skali sopranu lirycznego, jak i dla wielu znamion artystycznych wyższego rzędu, jakie w interpretacji wielkiej i trudnej arii z „Ifigenii“ Glucka, ujawnić zdołała. Popisy młodej śpiewacz-

ki już obecnie wykaczają znacznie po nad miarę przeciętną, a dalsza praca, tak owocna, jak dotychczas, może uczynić z niej siłę artystyczną, nawet pierwszorzędnej wartości.

Szósty wreszcie talent przedstawia nam klasa prof. Barcewicza w osobie p. J. Maliniaka. Młody skrzypek w pierwszej części „Koncertu“ Mendelsohna zajął szczerze całe audytoryum wielu zaletami gry swojej, z których podnieść należy: przesłiczny, aksamitny ton, dużą sprawność techniczną, niepokalaną czystość intonacji, nadto w traktowaniu utworu wiele ekspresji i niewątpliwych znamion odrębności, niekrępowanej wpływem nauczyciela.

Po za wymienionymi talentami wybitnymi, przesunął się jeszcze przez estradę spory zastęp talencików, tudzież średnio uzdolnionych, lecz pracowitych i dobrze w ogóle przygotowanych uczniów, którzy na wzmiankę również zasługują. Tu wymienić należy popisy: panny Galewskiej (klasa prof. Michałowskiego), pianistki doskonale przygotowanej pod względem technicznym, pozbawionej atoli wyższego polotu w kierunku odtwórczym, pani Katz (klasa p. Lurie), sopranistki muzycznej i inteligentnej, lecz ze skromnymi warunkami wokalnemi, p. Kmiecica (klasa prof. Barcewicza), przedstawiającego bardzo dobry materiał na skrzypka orkiestrowego, p. Dygasa (klasa prof. Szczepkowskiego), barytonisty rutynowanego i z ładnym głosem, domagającym się jednak gwałtownie większej poprawy emisji, jak dotąd zbyt gardlanej, p. Zielińskiego (klasa prof. Kałużyńskiego), organmistrza z wcale już dobrze wyrobioną techniką, obdarzonego przytem pewną pomysłowością w używaniu rejestrów, p. Rosenberga (klasa prof. Zawirskiego), pianisty z temperamentem i ładnym tonem, wreszcie wychowanców klas instrumentów dętych — drewnianych i blaszanych, którzy wszyscy prawie ujawnili dobre zadęcie i niemałą sprawność techniczną.

Reszta popisujących się (głównie z klas prof. Cinka, Giustinianiego i Szczepkowskiego) przedstawiała się jako mniej lub więcej obiecujący materiał, wymagający wiele jeszcze pracy i studyów. Chóry mieszane (klasa prof. Maszyńskiego) czysto, zgodnie i rytmicznie, ale z chronicznym i rażącym brakiem głosów, wykonały dwa utwory Palestriny i Beethovena. Orkiestra, w której kontyngens uzupełniający sił zawodowych był tym razem bardzo nieznaczny, wykazała w stosunku do popisów z ostatnich kilku lat znaczne postępy. Towarzyszyła do popisów solistów dyskretnie i uważnie, grała rytmicznie, zdobywając się niejednokrotnie na wykintniejsze efekty cieniowania. Klasę tę prowadzi stale dyrektor Noskowski. Na wzmiankę poehlebną zasługują wreszcie produkuje klasy muzyki kameralnej, zostające pod ogólnym kierunkiem prof. Barcewicza, której uczniowie w osobach: panny Rosenbaumówny, oraz pp. Maliniaka, Fidelmana, Kmiecica i Rzepki, przedstawili się jako zespół, będący w stanie zadowolić poważniejsze wymagania.

Oprócz dorocznego popisu Konserwatorium, o którym rozprzestrzeniliśmy się powyżej, mamy nadto do zanotowania jeden jeszcze, mianowicie uczennice szkoły śpiewu p. Maryi Sobolewskiej, drugi z rzędu od czasu założenia i trwania rzeczzonej uczelni. Urządziła go kierowniczka w celu zaznajomienia ogółu szerszego z działalnością swą pedagogiczno-artystyczną, oraz wykazania postępów, jakie uczynić zdołały jej elewki, poznane przez nas na popisie zeszłorocznym, i przyznać to trzeba, że potrafiła pod wielu względami zadowolić poważne nawet wymagania. Jej szkoła, przede wszystkim, jako ognisko służące sprawie krzewienia kultury muzycznej, zrobiła w tym kierunku bez wątpienia bardzo już wiele. Aż się serce raduje, gdy się widzi, jak karny i zgodny zespół chórowy potrafiła wytworzyć p. Sobolewska ze swych trzydziestu kilku uczennic. Chór

ten pod baczny, a umiejętnym kierunkiem przewodniczki dąży stale do coraz większego umuzykalnienia się i zespiewania, i co za tem idzie, stanowi ważny czynnik w rozwoju artystycznym uczennic szkoły. Nauce zbiorowej, jak to widać z duetów, tercetów i innych wielospiewów, w szkole p. Sobolewskiej poświęcone jest w ogóle sporo czasu, co musi odbijać się korzystnie na postępach ogółu uczennic, a inteligencji kierowniczej szkoły, zdającej sobie doskonale sprawę z pożytku pracy wspólnej w nauce śpiewu, przynosi zaszczyt prawdziwy. Co się znów tyczy metody, stosowanej przez nauczycielkę do każdego z poszczególnych głosów, to sądząc z popisów solowych, stwierdzić należy, że wszystkie elewki p. Sobolewskiej prowadzone są prawidłowo i ze znajomością rzeczy. Na każdym kroku widnieje dążenie do nadania głosom dźwięczności z uwzględnieniem indywidualnych warunków i właściwości każdego, tudzież ustroju fizyologicznego narządów głosowych ich posiadaczek, poprawność wymowy i prawidłowość oddychania, jak to często dało się zauważyć, bacznie bywają przestrzegane, sprawie wreszcie interpretacji, stylowego ujęcia utworu, poświęca się również wiele pracy starannej a owocnej. Naturalnie w produkcjach uczennic szkoły nie wszystko jest jeszcze bez zarzutu; to i owo w sposobie śpiewania i wydobywania głosu tej lub innej elewki trzeba jeszcze poprawić, uszlachetnić, wydoskonalić... Ogółem jednak biorąc, może się kierowniczka dotychczasowymi rezultatami słusznie już chlubić, zwłaszcza stopniem umuzykalnienia i rozwoju artystycznego ogółu uczennic, tudzież postępow, jaki niewątpliwie zrobiły w porównaniu z rokiem zeszłym w sztuce śpiewu niektóre jej wychowanki, głównie panie: B. Przybylska, L. Brunsendorffowa i J. Stremersówna. Z nowo poznanych w tym roku uczennic, wyróżniły się korzystnie zarówno piękną materią głosową, jak i stopniem zdobytej już techniki wokalne, panie: Z. Rucińska, M. Brzozowska i M. Szymańska.

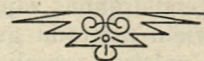
Opera zamknęła w tygodniu ubiegłym podwoje swe na kilka miesięcy, kończąc sezon pracowity bardzo i dość zajmujący, a jednak niezbyt pomyślny dla niej pod względem materialnym. Na ten objaw, nader dla teatru niepożądany, złożyła się po części zakorzeniona niechęć publiczności naszej, wciąż nie mogącej zrozumieć, że sztuka operowa obcyć się może doskonale bez tenorów i barytonów fenomenalnych, do widowisk, pozbawionych udziału gwiazd, po części jednak, przyznać należy, zawiniła tu i sama reżyserja, nie przestrzegając wytrwale wszystkich punktów programu reformy opery naszej. Wytycznymi punktami programu rzeczzonego powinny być: praca nad utworzeniem dobrego, jednolitego i mogącego odpowiadać wszelkim wymaganiom artystycznym stałego zespołu, przeistoczenie chórów, staranność w wystawianiu dzieł, unikanie, o ile możności, importowania przygodnego sił zagranicznych, wreszcie umiejętne odświeżenie repertuaru. Zobaczmyż tedy, jak sobie reżyserja z postulatami powyższymi postąpiła. Z jednej strony zauważyć się dało rzeczywiście przestrzeganie ich baczne: w repertuarze pojawił się ruch i życie, przyjęto kilka dobrych sił artystycznych na stałe, zwrócono baczniejszą uwagę na chóry, zaczęto powierzać artystom miejscowym partye odpowiedzialne, będące w stanie dać możność siłom młodszym doskonalenia się scenicznego i rozwijania wszechstronnego, wystawiono wreszcie kilka dzieł nowych z chwalebna okazałością i pomysłowością niewątpliwą w układzie scenicznym, w zastosowaniu wszystkich środków techniki i w całej w ogóle pracy reżyserkiej. Z drugiej jednak strony nie ustrzeżono się błędów niejakich w kwalifikowaniu do wystawienia tego lub owego utworu (np. „Maryi“ Melcera

lub „Adryanny de Lecouvreur“ Cile'a, oper wycofanych po kilku przedstawieniach, w skutek czego nakład, poniesiony na nie, nie wrócił się nawet w drobnej części, a co jeszcze gorsze, kontynuowano w dalszym ciągu metodę sprowadzania spiewaków zagranicznych. Na import tych ostatnich zgodzić się jeszcze można byłoby od biedy, byleby oni byli znakomitościami i siłą swych talentów (jak np. Bellincioni, Anzemi lub Battistini) byli w stanie zciągać do teatru słuchaczy, żadnych rozkoszy artystycznych. Dobrych jednak solistów-gwiazd jest nie tak wielu, aby ich starczyć mogło na cały sezon. Otóż nie mogąc mieć sił znakomitych bez przerwy, a ledwo średnie, lepiej nie sprowadzać ich wcale, gdyż miernoty nie mogą mieć powodzenia, obrzydają tylko repertuar i zniechęcają publiczność do uczęszczania do teatru. Tylko wystawianie utworów prawdziwie dobrych, powtarzamy, bez znakomitości zagranicznych a z dbałością jedynie o dobroć i jednolitość zespołu, oraz o wykuint szaty zewnętrznej może dać wyniki kassowe dodatnie. Dowodem tego najlepszym „Chopin“ Oreficego; niestety i olbrzymie powodzenie, towarzyszące stale tej operze od chwili pierwszego ukazania się jej na scenie, dowiodło najwymowniej, jaki kierunek repertuaru jest dla naszej publiczności najbardziej odpowiedni, i czego ta publiczność żąda i wymaga. Zwracamy na to uwagę nowej reżyserii z przeświadczeniem, że zmiana systemu sprowadzania spiewaków „obieżyswiatów“ i wystawiania dla nich nawet specjalnie oper, wyróżniających się wybitnym charakterem popisowości, bez oglądania się na rzeczywistość ich wartość, może wyjść interesem teatru tylko na dobre.

Może kto zapyta, dlaczego, jeżeli import artystów zagranicznych odbija się szkodliwie na interesach teatru, nie wpływa on tak ujemnie na interesy np. Filharmonii, w której zapowiadzanym planie kampanii zimowej widnieją znów cały szereg nazwisk takich, jak: Sauer, Hambourg, Landi, Darclée, Pugno, Issaye, Kubelik i wiele innych? Odpowiedź prosta. Oto Filharmonia stara się o wprowadzenie na swoją estradę wyłącznie artystów wielkich, o rozgłosie wszechświatowym, sił niezbędnych do podniesienia kultury muzycznej Warszawy, a ponieważ sił takich znajduje się na rynku europejskim ilość znacznie większa, niż solistów — gwiazd operowych, zawsze przeto jest w stanie po artystach znakomitych sprowadzić innych, nie mniej wielkich. Naturalnie, czasem zdarzyć się może i Filharmonii, że z powodu różnych okoliczności nieprzewidzianych dać musi u siebie gościnę jakiejś miernocie i wtedy bez wątpienia odczuwa to pod względem materyalnym; wszelako zdarza się to rzadko, a przeważnie zaś, mając większy wybór, może sobie pozwolić więcej, niż teatr, wiedząc, że zainteresowanie publiczności wobec występów gwiazd równego blasku i wielkości ostygnąć nie może. Skoro już mowa o Filharmonii, nie od rzeczy będzie zatrzymać się chwilę na ogłoszonym przez nią programie koncertów symfonicznych w przyszłym sezonie zimowym. Program to bogaty niezwykle i wspaniały zapowiada świetne plony, obiecując Warszawie szereg wrażeń w wielkim i szlachetnym stylu. Oprócz wymienionych powyżej sił artystycznych, widzimy na nim nadto takie nazwiska, jak Paderewskiego, Barcewicza i Sliwińskiego. Z dzieł wcale lub mało u nas znanych zapowiada Filharmonia również szereg pokazów. Seryę rozpocznie: „Symphonia domestica“ Ryszarda Straussa, poczem pójdą kolejno: „Parsifal“ Wagnera, „Manfred“ Czajkowskiego, symfonie Paderewskiego, Brücknera i Convers'a, „5-ta Elżbieta“ Liszta, wreszcie „Requiem“ Verdiego, słowem wszystko prawie, co muzyka wszechświatowa wydała najlepszego w czasach ostatnich. Wobec takiego blasku, bijącego z programu omawia-

nego, z góry można już być pewnym olbrzymiego ruchu, jaki wywoła w naszym świecie muzycznym ten szereg uczt artystycznych. Czekamy i my nań z upragnieniem i niecierpliwością.

St. Dziadulewicz.



Kronika działalności kobiecej.



— Wobec nadania u nas kobietom prawa do służby pocztowo-telegraficznej, główny zarząd poczt i telegrafów nadesłał naczelnikowi okręgu warszawskiego szczegółową instrukcję. Oto ważniejsze z niej punkty:

Przy wyborze kandydatek pierwszeństwo mieć winny panny lub wdowy bezdzietne.

Przed dokładnem obznajmieniem się z czynnościami służbowymi, kandydatki nie będą pobierały żadnej pensji.

Urzędniczkę pocztową pełnić będą obowiązki na równi z mężczyznami, z wyjątkiem pakowania poczty i czynności rozjazdowych. Toż samo telegrafistki, z wyjątkiem prac czysto technicznych.

Do czynności kancelaryjnych powinny być wyznaczane urzędniczki nie etatowe.

Podczas zajęć biurowych urzędniczki powinny mieć suknie koloru ciemnego.

Wiek obowiązujący dla wstępujących nie mniej, niż lat 18 i nie więcej, niż lat 35.

— Düsseldorf. Pierwszy dzień zjazdu stowarzyszeń kobiecych, z powodu wystawy ogrodniczej, poświęcony był stanowisku kobiety w ogrodnictwie. Przewodnicząca zjazdu, profesorowa Krukenberg-Kreuznach, zagała pierwsze posiedzenie. Pierwszy referat odczytała p. Marya Wagner z Berlina „Ogrodnictwo w szkołach i w gospodarstwie kobiecym.“ Trzy są przyczyny zniewalające poważnie do tworzenia kolonii ogrodniczych w miastach i po wsiach, a mianowicie: 1) Sprowadzanie za olbrzymie summy owoców z zagranicy; 2) Zdrowotność ludności tak miejskiej, jak i wiejskiej; 3) Przeprodukcy robotników i robotnic w fabrykach i brak zajęcia dla wielu tysięcy rąk. Prelegentka zwracała uwagę, że we Francji, po klęsce 1870-go roku, dla względów ekonomicznych położono wielki nacisk na szkoły ogrodnictwa w miastach i po wsiach, że w szkołach ludowych ogrodnictwo stało się obowiązkowe i że jak najlepsze wydało to wyniki, wyniki, które dumą napęlić mogą Francuzów, tak dalece ogrodnictwo, które kwitło świetnie jedynie w Paryżu i w pobliżu stolicy, wzrosło do wspaniałego rozkwitu w całym kraju. W Szwecji, w Szwajcarii, w Belgii, prawie każda szkoła posiada swój oddział ogrodniczy. W Anglii uczą ogrodnictwa specjalne, prywatne zakłady, tych zaś mnogość w kraju jest wielka.

Pani Lang (z Dwóch Mostów) mówiła na temat alkoholizmu i korzyści dla zdrowia ze spożywania dobrych, dojrzałych owoców. Prelegentka zwracała się głównie do kobiet, one bowiem, jako matki, mają najsilniejszy, najdalej sięgający wpływ na przybywającą generację. Sposób odżywiania wpływa niewątpliwie na rozwijanie się nałogu alkoholizmu, rozumie się zwłaszcza tam, gdzie grunt jest ku temu przygotowany. Potrawy tłuste i mięsne pobudzają pragnienie, znaczna zaś domieszka jarzyn i owoców neutralizuje działanie potraw mięsnych.

Panna Erdmann z Godesberga mówiła o nowo-zakładającej się szkole ogrodnictwa w Godesbergu, której dyrektorką zostaje właśnie panna Erdmann, znana z pracy na tem polu.

Następnie przemawiała panna Augusta För-

ster (z Kassel) o stanowisku kobiety inteligentnej na wsi, poczem bardzo wymownie głos zabrala panna de Leeuw (z Hollandyi), wykazując, jak wielkim jest wpływ kobiety na ogrodnictwo, czego najlepszym dowodem jest Düsseldorf, gdzie, jak wiadomo, wiele kobiet, pod własnem przewodnictwem zakładało ogródki i skwery. Przechodząc do specjalnego wykładu, prelegentka przedstawiła z wielką znajomością rzeczy, w jaki sposób najestetyczniej urządzamy i ozdabiamy nasze ogrody. Panna de Leeuw przedewszystkiem stara się wyzyskać naturalny wdzięk położenia. Żadnego przymusu, żadnych sztucznie wyciągniętych linii, nie tak, jak to dawniej bywało, gdy aleje ogrodu wycinał architekt, nie zaś wykształcony, miłujący naturę ogrodnik, umiejący z korzyścią dla smaku ocalić każdy krzew, każde drzewko, napotkane na drodze. Prelegentka gorąco polecała kobietom najmniejszy bodaj kawałek ziemi, jeśli go która szczęśliwie przy domu swym posiada, zapewniając, że zamiłowanie w ogrodnictwie nie tylko cieszy nas przez dostarczanie dla oczu naszych ozdoby i piękna, lecz podnosi ducha naszego, budząc w nas bezwiedne przywiązanie do przyrody.

Z ostatnim, doskonale opracowanym referatem wystąpiła doktorka, panna Castner (z Marienfelde). Referat wykazywał „znaczenie ogrodnictwa z higienicznego i ekonomicznego punktu widzenia.“

Debaty w dniu następnym poświęcone były stanowisku kobiety w sztuce. Na temat ten przemawiali: pani Frauberger (z Düsseldorfu), baron von Perfall, znany autor (z Kolonii) i panna Ilka Freudenberg (z Monachium).

— Londyn. Znana w całej Anglii z filantropijnej działalności Angela-Georgina, baronowa Burdett-Coutts, święciła niedawno dziewięćdziesiątą rocznicę swych urodzin, na którą zjechali się przedstawiciele i przedstawicielki różnych stowarzyszeń dobroczynno-społecznych, oraz najwybitniejszych rodzin w Londynie. Angela Coutts była wnuczką założyciela firmy bankierskiej „Tomasz Coutts et Comp.“, po którym odziedziczyła olbrzymi majątek. Od najmłodszych lat poświęciła życie społecznym i filantropijnym celom, a wielki jej majątek stał się istotnem błogosławieństwem dla tysiąca rodzin.

— Szwajcarya. W obecnej chwili w uniwersytetach szwajcarskich liczba studentek medycyny wynosi 891. W Bernie 377, Lozannie 181, Zurychu 177, Genewie 151 i w Bazylei 5.

— Pozwolenie na otwarcie biura adwokackiego w Genewie otrzymała panna Nelly Favre, która ze stopniem doktora obojga praw ukończyła uniwersytet Genewski.

— Heidelberg. Szkockie siostry bliźniaczki, pani Lewis i pani Gibson, znane badaczki archeologii, doktorki filozofii, podczas obchodu jubileuszowego w Uniwersytecie heidelberskim otrzymały tytuły doktorek honorowych.

— Bawarya. Panna Helena A'Ranu z Jass (Rumunia) w Uniwersytecie würtzburckim złożyła z odznaczeniem egzaminu na stopień doktora filozofii.

— Boston. Młoda Japonka, Fugi Yoshida, osiadła w Bostonie, aby tam poświęcić się studjom malarskim, które w ojczyźnie jej nie przełamały jeszcze dla kobiet koniecznej w tym kierunku swobody i napotykały bardzo wiele trudności. Panna Fugi Yoshida, jak mówią gazety amerykańskie, bardzo rychło przywykła do obyczajów nowego świata.

Z. S.



Nasz ul.



— Ordynat hr. Adam Krasiński powołał artystę-rzeźbiarza Romana Lewandowskiego do rezydencji swej w Opinogórze i porucił mu wykonanie sarkofagu dla poety-wieszczu Zygmunta Krasińskiego, którego zwłoki spoczywają w podziemiach miejscowego kościoła. Pomnik wzniesiony będzie w stylu Odrodzenia i stanie naprzeciw sarkofagu matki poety, Elżbiety Radziwiłłówny, żony generała Wincentego hr. Krasińskiego.

— W szkole technicznej Władysława Piotrowskiego, dawniej Świecimskiego, otwarto doroczną wystawę prac uczniów ze wszystkich trzech wydziałów: mechanicznego, budowlanego i chemicznego. Ogółem prace zajmują cztery sale we własnym gmachu szkolnym, mieszczącym się przy ulicy Smolnej n-r 3.

Prace rysunkowe, począwszy od pierwotnych liniowych, obejmują projekcje geometryczne, rysunki konstrukcyjne, kompozycje trudniejsze i wykazują staranne wykonanie, dobry kierunek szkoły i zamiłowanie uczniów, dążących do coraz większego postępu. Zwłaszcza prace Głogowskiego, Tillmana i Kłosa zasługują na wyróżnienie. Dobrze się przedstawiają także rysunki budowlane zdobnicze czyli ornamentacyjne. Wydział ten, pod kierunkiem inżyniera Junoszy Piotrowskiego, prowadzi pp. architekci Heurich i Gay z pomocą nauczycieli rysunków pp. Monczarskiego Biskiego i Niesiolowskiego. Oddział mechaniczny prowadzony przez inżyniera Mańkowskiego, wystawił bardzo poprawne wyroby ślusarskie, kowalskie, modelowane odlewy, stolarskie i ozdobne tokarskie. Nadto wyróżniają się dodatnio prace uczniów na wydziale młynarskim. Oddział ten uzyskuje skromną subwencję w summie 2,000 rubli, przeznaczoną przez związek młynarzy krajowych na wykształcenie uczniów w tym zawodzie.

Nakoniec wydział chemiczny, obejmujący także cukrownictwo, pozostaje pod kierunkiem obecnego dyrektora Władysława Piotrowskiego i inżyniera Żurawskiego i liczy wielu uczniów i słuchaczy.

Po ukończeniu całkowitego trzyletniego kursu, uczniowie otrzymują dyplomy i niebawem posady, łącznie z utrzymaniem i pensją, wynoszącą od 30—50 rubli miesięcznie.

— Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych w Warszawie prosi nas o podanie do wiadomości ogólnej, że zamierza urządzić zbiorową wystawę prac Józefa Simmlera w jesieni r. b.

W tym celu zwraca się za naszym pośrednictwem z prośbą do wszystkich posiadaczy dzieł zmarłego artysty-malarza, o łaskawe ich wypożyczenie na miesiąc wystawy, lub udzielenie wskazówek u kogo znajdować się mogą, w celu sporządzenia katalogu.

— Dnia 6-go b. m. odbyła się w Ojcowie uroczystość poświęcenia i odsłonięcia pomnika ś. p. Adolfa Dygasińskiego.

Po odprawionem w kaplicy zamkowej nabożeństwie, na którym zgromadzili się uczestnicy zjazdu koleżeńckiego w Kielcach, nastąpiło wmurowanie tablicy z wizerunkiem zgasłego literata w pobliższej skale nad Prądnikiem. Na tablicy wyryto napis: „Pamięci Adolfa Dygasińskiego, miłośnika i głębokiego znawcy przyrody, pedagoga i poety. Zjazd koleżeńcki w Kielcach 1902-go r.“

No owym to bowiem zjeździe, kolledzy ś. p. Adolfa Dygasińskiego powzięli chwalebna myśl uczczenia w ten sposób jednego z najdzielniejszych, a przedwcześnie zgasłych towarzyszy nauki i pracy.

Tablicę wykuto z marmuru kieleckiego, a zdobiące ją popiersie wyszło z pod dłuta artysty-rzeźbiarza, Czesława Makowskiego. Po odsłonięciu pomnika przemawiał p. M. J. Zaleski, kolega zmarłego pisarza. W uroczystości, oprócz współtowarzyszów, wzięli udział liczni przedstawiciele świata literackiego, córka Dygasińskiego i goście okoliczni. Malowniczość doliny Ojcowskiej, piękno otaczającej natury, doskonale harmonizują z umiejscowieniem pomnika, wzniesionego ku uczczeniu tego badacza życia roślinnego i zwierzęcego, estety i psychologa, jakim był ś. p. Adolf Dygasiński.

— Zgromadzenie starszych kupców miasta Łodzi ogłasza za pośrednictwem warszawskiego Koła architektów konkurs na projekt gmachu Szkoły handlowej, mającego stanąć na placu przy zbiegu ulicy Dzielnej i Trębackiej w Łodzi. Ogólny kosztorys nie powinien przekraczać 250,000 rubli. Mieszkania personelu mogą być w budynku oddzielnym.

Przeznaczono trzy nagrody w summie: 800, 500 i 350 rubli. Projekty nagrodzone stają się własnością komitetu budowy, który nadto zastrzega sobie prawo nabywania projektów nienagrodzonych po rubli 200 za projekt i wykonywania budowy na własną rękę. Sąd konkursowy składają architekci: pp. Józef Dziekoński, Adam Oczkowski, Wiktor Junosza-Piotrowski, Mikołaj Tolwiński, oraz członkowie rady opiekuńczej Szkoły, pp. d-r A. Biedermann, S. Silberstein i inżynier A. Surzycki.

Prace konkursowe w tekach należy nadsyłać do dnia 3-go Listopada (godzina 7-ma wieczorem) pod adresem redakcji „Przeglądu Technicznego“ Krakowskie-Przedmieście n-r 66. Prace zamiejscowe najpóźniej do dnia 5-go tegoż miesiąca.

Projekty nienagrodzone będą zwracane autorom, za okazaniem dowodu do dnia 31-go Grudnia r. b.

— Otrzymujemy wiadomość, iż woda stołowa „Ursus“ ze źródła w Oblęgorku na ostatniej Wystawie higieniczno-spożywczej w Paryżu w r. 1904-ym otrzymała medal złoty.

— Na wyższych kursach żeńskich w Petersburgu projektują utworzenie wydziału prawnego dla kobiet. Zatwierdzenie ustawy projektu spodziewane jest w jesieni roku bieżącego.

— Nowy typ mieszkań udziałowych przedstawiają utworzone domy akademickie w Galicji, a mianowicie w Krakowie, Lwowie i Dublinach. W Krakowie powstały z funduszy zebranych przez stowarzyszenia studenckie, z zapomocy uchwalonej przez sejm i z pożyczek. Mieszka tam 55 studentów za opłatą 15—17 rubli miesięcznie z całkowitem utrzymaniem. Istnieje także dom akademicki im. Wołodkowicza, zamieszkały przez 144-ch studentów. Jest tam sala zebrań, czytelnia, fortepian, kąpiele, jadalnia itp. Dodatni wpływ obcowania młodzieży pomiędzy sobą i wygodne warunki utrzymania przy niewielkich nawet dochodach, przemawiają dodatnio za rozpowszechnieniem i u nas podobnie pożądaną inowacyi.

— Zarząd Towarzystwa szkoły ludowej w Galicji za pośrednictwem krakowskiego stowarzyszenia „Polska sztuka stosowana“ ogłosił konkurs na projekt znaczku umieszczonego na wszystkich pismach, wychodzących staraniem Towarzystwa i na jego wydawnictwach. Rysunek powinien być zastosowany do odbicia drukiem w czarnym kolorze za pomocą kliszy cynkowej i zawierać ma litery T. S. L. ujęte w ozdobę, odpowiadającą powadze i charakterowi instytucji. Nagroda koron 100. Projekty konkursowe nadsyłać należy pod adresem Tow. „Polskiej sztuki stosowanej“ Kraków—ul. Wolska Nr. 14 do dn. 15-go Września r. b. do godz. 12-jej w południe.

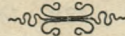
— W Halle nad Saalą, w Akademii rolniczej ukończyła kursa agronomiczne rodaczka nasza, p. Cybulska, nadto p. Zofia Sawicka wydział rolniczy w Zurychu. Są to zapewne pierwsze Polki, pionierki pracy na nowym polu, pozostającym dotychczas stale i jedynie w rękach mężczyzn.

— Uniwersytet w Londynie powołał po raz pierwszy na katedrę historii ekonomii kobiet w roli pedagoga. Osobą tą jest miss Lilian Tomm. Początkowo studyowała ona historię i prawo we wszechświecie w Cambridge i pracowała na tem polu pod kierunkiem Fryderyka Pollocka. Poświęciwszy się wyłącznie studiom nad ekonomią politycz-

ną, zostawiła w Cambridge i historię cywilizacji przemysłowej.

ka profesora Uniwersytetu w Cambridge w jego pracach, takich, jak: „Historia cywilizacji zachodniej“ i „Wzrost angielskiego przemysłu“.

— W Wiedniu zmarł d-r Teodor Herzl, przywódca ruchu syjonistycznego. Po raz pierwszy zabrał głos w tej sprawie, wydając broszurę swoją, zatytułowaną: „Der Judenstaat“, następnie wraz z Maksem Nordauem współdziałał w obronie i szerzeniu swej idei. Opracowywał projekty kongresów syjonistycznych i programy dla ich komitetów. Teodor Herzl pracował przez lat kilka jako ruchliwy i bystry feljetonista „Neue freie Presse“, oraz na polu piśmiennictwa, jako dramaturg i powieściopisarz. Na scenie w Berlinie wystawiano jego sztukę p. t. „Solon in Lydien“. Odszedł w sile wieku, przeżywszy zaledwie lat 44.



ODPOWIEDZI.

— Pani P. M.— Kursy kucharstwa otwarte będą od Października przy Szkole dla służby, organizowanej przez zarząd III-iej szwalni, o czem pisaliśmy w numerze 26-ym naszego pisma. Projekty p. Wasilutynskiego nie zostały na czas nieokreślony odłożone.



SPROSTOWANIE.

W numerze 26-ym „Bluszczu“ w artykule „Małżeństwo Bony Sforza“ na str. 304-jej w szpalcie 2-jej w. 21 zamiast „której słynny portret (Joanny Aragońskiej) znajduje się we Lwowie“, winno być: „której słynny portret znajduje się w Luwrze“.

Treść numeru:

Odpowiedź na odpowiedź, przez Matkę. — Jad, powieść przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Poszli dziś ludzie... (wiersz), przez Idę Pilecką. — O szczęście dziecka, przez Jadwigę z Z. Strokową. — O współczesnej literaturze czeskiej, przez A. Września. — Maurycy Jokaj: Bał (list młodej dziewczyny), tłóm. E. Żm. — Kobieta chińska, przez d-r Felicyę Nossig. — Prace kobiece (z najnowszej literatury francuskiej). — Przegląd muzyczny, przez Stanisława Dziadulewicza. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Odpowiedzi. — Sprostowanie. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 7-my „Wrażeń z Dalekiego Wschodu“ Piotra Loti'ego, w przekładzie Wili Zyndram-Kościakowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 25). — Przepisy kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcza“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszcza“.

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płać za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Znany pow
Mag
K. ŚW.
z dniem 8 Lipca r. b. przeniesiony
Chmielną No 10.

. f.
SKA
wskiej Nr. 131 na ulicę

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej
L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuskie. Najlepszy krój koszul męskich.

Sanatogen
Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.
Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.
Brozury na żądanie bezpłatnie.
S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

„Nowość z sitkiem”
SUDORYN
Ap. Kowalskiego,
aptekarska w m., Graniczna 10
POT, odparzenie USUWA świetnie zaoszczędza odzież, obuwie. Błasanki z sitkiem po 30, 50 i 90 k. Żądać wszędzie. Strzedz się naśladownictw!

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
ANTONINY PIASECKIEJ
poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki
Warszawa, Krak.-Przed. 38.

CIECHOCINEK. Pensjonat Zachęta
posiada 73 pokoje urządzone wygodnie kuchnia wyborowa opieka dla chorych i młodzieży ceny wobec rozmaitej wielkości pokoi, dostępne dla wszystkich.
Adres Zachęta. ☉ Kuczalska.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
GRETILLAT
Ś-to Krzyżka 15.

Poleca; nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

ZAKŁAD
GINNASTYKI SZWEDZKIEJ
Heleny Kuczalskiej do 20 Września w Ciechocinku, Zachęta druga.

W numerze 21 „Bluszczu” p. t. „Do naszych Czytelników” było ogłoszone

O wzorach dziurkowanych do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknię, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chiński, japoński, secesja i t. d., lub fantazja).

Z p. Kamińskim, który komponuje desenia dziurkowane i daje ceny zamówionych wzorów, mogą nasze czytelniczki widzieć się w Poniedziałki, Środy i Czwartki od godz. 6 do 7 wieczorem.

Najlepszy środek kosmetyczny
nadający cerze świeżość i czystość

Zródło piękności

Patent w Anglii

Crème CAZIMI
Metamorphosa
przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka przeciw plegom jest podpis **Calimi** i dołączony do każdego słoika rysunek „ZRÓDŁO PIĘKNOŚCI.” **Calimi**
Bez podpisu
I rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadln i Manuf. za Nr. 4683—**FALSYFIKAT.**
Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.
Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.
Wypisy Francuskie kop. 80.
Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.
Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.
Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

Pismo poranne, codzień wychodzące, nie wyłączając niedzieli

GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej ogłasza, co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych czytelników tak w Warszawie, jakoteż i zamieszkałych na prowincyi, odstepujemy od przyjętego zwyczaju liczenia kwartałów: od 1-go stycznia, od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i **przyjmować będziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia miesiąca.**

Prenumerata więc może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocznie w stosunku miesięcznym po **75 kop.** w Warszawie i **1 rubla** na prowincyi.

Nadmieniamy, iż „GAZETA WARSZAWSKA” opuszcza prasę drukarską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między godziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism popołudniowych) a 5-tą zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pociągami rannymi, z większych pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.

Najlepszy Przyjaciel Żołądka



VIN
Saint-Raphaël

poleca się jako:
toniczne, wzmacniające i pomagające trawieniu.

Brozura D-ra de BARRE o winie **St.-Raphaël**, jako o pożywnym, wzmacniającym środku

Wysyła się na żądanie.

SMAK JEGO WYŚMIENITY.

Compagnie du vin St.-Raphaël Valence, Drome, France.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu, fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie,

Nowy-Świat No 5.

Cenniki gratis.

Telefon No 2515.